Rok II. Nr. 4. Kraków, 15. lutego 1920 r. Cena egz. 3·50 K. (mr. 2·50)

ŻYCIE I POWIEŚĆ

DWUTYGODNIK POWSZECHNY

Prenumerata w Krakowie i na prowincyi wraz z przesyłką pocztową wynosi: kwartalnie K. 20·— (mrk. 14·—), półrocznie K. 38·— (mrk. 27·—), rocznie K. 75·— (mrk. 53·—).

Adres Redakcyi i Admin. „Życia i Powieści": Kraków, Karmelicka 16.
Ogłoszenia do „Życia i Powieści" przyjmuje wyłącznie Administracya — Kraków, Karmelicka 16.

Tryumfalny marsz naszej armii pomorskiej.



(do tekstu na str. 2-ej).

Wracają do Polski ziemie.

Wracają do Polski ziemie
Zabrane ręką niemiecką.
W ojczystym swoim języku
Już będzie modlić się dziecko.

Odchodzą podli najeźdcy
W rękawach skrywając noże,
Prowadzi armię swą Haller
Nad morze, nad Polskie Morze.

W marzeniu myślą przebiegam
Przestrzenie i sine dale,
I słucham z duszą na klęczkach
Co szumią mi morskie fale:

„Rodacy! hejno rodacy!
Powiedzcie, czyż to nie grzechem,
Że moment taki radosny
Tak słabem odbił się echem?“ —

„Gdzież owe krzyki radości,
Gdzież owe dźwięczne hejnały,
Że Polsce morze wrócono
Potęgi symbol i chwały?“ —

A owe morza poszumy
Na serca padły ołowiem,
Bo jaką znajdę wymówkę,
Bo cóż ja morzu odpowiem?

Nemo.

Tryumfalny marsz naszej armii pomorskiej.

(Do ilustracyi tytułowej).

Marsz naszej armii Pomorskiej w terytorya odebrane Niemcom, zamienił się w jeden wielki i radosny pochód tryumfalny. Życie polskie gnębione do tej pory przez odwiecznego naszego wroga, promieniuje całą siłą swej czujności, a wojska pomorskie witane są wszędzie z ogromnym entuzyazmem. Z opisu korespondentów towarzyszących tej armii, wyjmujemy kilka obrazków charakteryzujących nastrój podniosłych chwil. Oto, co pisze korespondent „Kuryera Porannego“ z Torunia:

Toruń szalał z radości bez różnicy wieku, gdy dojrzał nareszcie tych naszych ułanów błękitnych i żółtych, gnieźnieńskich, oraz o czerwonych proporcach pułki ułanów „koronnych“. Jechali bo na świetnych koniach, wyekwipowani znakomicie, uśmiechnięci i jak witający ich szczęśliwi, choć usiłujący udać niewrażliwość na serdeczne drgnienia duszy wzruszonej i tkliwej na objawy entuzyazmu odzyskanych braci. Szły te dzielne piechury poznańskie krokiem twardym i w doskonałym „fasonie“, szły bez końca w przeszło w dwugodzinnym pochodzie te wojska piesze i konne, które Toruń ujrzał na własne oczy i bez przesady mówiąc, oniemiał, widząc tak dobrze zorganizowaną i mocną część naszej armii.

Czułem to z min tych radców i burmistrzów niemieckich, ,co przylepieni do szyb ratusza, czekali od 12 do 4 po południu aktu powitania dowódzcy wojsk wkraczających. Ściśnięci w futrynach okien frontowych ratusza, oczu nie mogli oderwać od naszego wojska, a od czasu do czasu, z przygnębieniem wyraźnem bąknął jeden, czy drugi z najwyższem zdumieniem: „...na ja... ausgestattet sind sie, ja!“... (Tak! Wyekwipowani są istotnie dzielnie!).

A oto inny obrazek z Grudziądza podany przez korespondenta „Kur. Polskiego“:

Z pierwszymi oddziałami wojska wkraczamy do udekorowanego miasta. Po ulicy biega dziatwa z chorągiewkami, krzycząc radośnie. Znać, że i tu wojsko polskie jest przedmiotem radości i oczekiwania. Sklepy zamknięte. Na rynku, zeszpeconym obrzydliwym pomnikiem Wilhelma I., któremu chłopcy w dłoń i za pikelhaubę zatknęli chorągiewki narodowe (ironia historyi) przybranym zielenią, oczekują miejscowe instytucye, zgrupowawszy się w zgrabny czworobok, uzupełniony piechotą hallerowską. Entuzyazm tłumu rośnie. Okrzyki, łzy w oczach, świadczą, jak wielkiem, oczekiwanem świętem dla Grudziądza jest ta chwila. — Uroczystość kończy się defiladą wojsk. Płyną dzielne pułki, witane radośnie, serdecznie. Nie brak i momentów humorystycznych. Gdy przeciągają tabory i treny, ktoś woła potężnym głosem:

— Niech żyje kuchnia!

W tłumie śmiech. Autor okrzyku woła:

— Na wojnie kuchnia wiele znaczy!

I tłum przejednany podnosi okrzyk:

— Niech żyje kuchnia!

Sceny takie w pochodzie zaobserwować można było w każdej miejscowości!

Pod cenzurę z żurnalami mód!

W wielu niemieckich dziennikach pojawiają się coraz częściej ostre filipiki przeciw żurnalom damskich mód i z kategorycznem żądaniem poddania ich pod jak najsurowszą kontrolę cenzury prasowej.

Wywodom niemieckiej prasy nie można odmówić pewnej słuszności.

W ostatnich czasach słyszy się i czyta wiele o rozrzutności i marnotrawstwie materyi, spowodowanem ostatniemi modami. Wymyśla się rozmaite środki zapobiegawcze dla powstrzymania tego zła, jak specyalne stowarzyszenia, podatki, ba! nawet gdzieniegdzie **przepisy policyjne.** Dlaczego jednak nie wyrwie się tego chwastu społecznego z korzeniem, dlaczego się nie szuka tam, gdzie on tkwi właściwie?

Żyjemy w czasach autokratyzmu cenzury. Każde drukowane słowo jest rozważane i roztrząsane długo i skrupulatnie badane i indagowane, ważone, analizowane, prześwietlane, zanim cenzor zdecyduje się w świat je wypuścić. Jeżeli cenzura ściga każdą nielojalną myśl i ideę w prasie, jeżeli z wszelką już stanowczością tępi wyuzdaną pornografię, ubraną w płaszczyk nauki czy humorystyki, jeżeli wydawcami tych ohydnych piśmideł słusznie pogardzamy i wykluczamy ze społeczeństwa uczciwych ludzi — dlaczego — zapytują dzienniki niemieckie, tasama surowość cenzury, tasama wzgarda społeczeństwa nie dotyka nieuczciwych spekulantów-wydawców żurnali mód?!

Jeden z namiętnych przeciwników obecnej mody twierdzi z całą stanowczością, że bezkarność w znaczeniu cenzuralnem, jaką cieszą się żurnale, jest wprost oburzająca. Żurnale mód, wywodzi on dalej, zawierają w sobie wszystkie występki i zbrodnie, nadające się do ścigania cenzuralnego.

W żurnalu mód mamy zachęcanie do oporu przeciw władzy. Władza bowiem zaleca w obecnych czasach oszczędność — żurnal apostołuje rozrzutność w ubiorach. Żurnal jest burzycielem spokoju domowego i waśni małżeńskich, prowadzonych niejednokrotnie do rozwodu, a więc coś w rodzaju „gwałtu publicznego“. Żurnal wreszcie jest propagatorem lekkich obyczajów i pornografii, co najlepiej uwydatnia się w kolorowych rycinach, przedstawiających bardzo swobodne kostyumy damskie balowe, kąpielowe i letnie.

— Czyż niema w dziedzinie mód żadnego cenzora?! — kończy krzykiem rozpaczy wróg mody. Taksamo jak żurnalami powinna się prokuratorya zająć wystawami sklepowemi magazynów mód i konfekcyi... Dobro społeczeństwa i interes państwa domaga się tego!...

M. STEVENSON.

Sobowtór Alicyi.

Powieść z życia amerykańskiego.

10 (Dalszy ciąg).

Bridger miał już dość przejażdżki, więc pocwałował w stronę domu. Słowa wypowiedziane przez mniemaną Alicyę w równym stopniu zajęły go, jak zaniepokoiły. Ona cierpiała jakiemś tajemnem cierpieniem — poznał to. Ona nie czuła się szczęśliwą — ta dziewczyna, udająca Alicyę Irving!... Tak teraz wiedział... po raz pierwszy nabrał niezłomnego przekonania: to nie Alicya Irving!

A jednak przyrzekł jej teraz przed chwilą przyjaźń, pomoc i opiekę. I nietylko przyrzekł, ale postanowił dotrzymać bez względu na to kim ona jest!... W każdym razie jest sobą samą: uroczą — i jak mniemał, mimo wszystko — uczciwą dziewczyną.

* * *

Kiedy Percy Briddger opowiedział przyjacielowi o swej rozmowie z Alicyą, Reginald zapytał:

— Czyś wyciągnął jakie wnioski z tej rozmowy?

— Hm!... wnioski — nie powiem, ale pewna myśl przyszła mi do głowy. Mimowoli musiałam zadać sobie pytanie, czy ta dziewczyna nie zawiodła oczekiwań swych wspólników, jeżeli ci hultaje zaczynają jej niedowierzać i szpiegować ją.

— Szpiegują ją istotnie. — Przyznał Grey — et to włóczą się za nią trzy jakieś indywidua. Wiem o tem od Jimmy Faira, który zaraz spostrzegł, że jacyś ludzie snują się za jego panią. Narazie jednak nie jesteśmy jeszcze tak daleko, aby nas to mogło interesować. Przyznam jednak, że to życzenie, które wypowiedziała, usposabia mnie dla niej bardzo życzliwie. Będzie to dla mnie prawdziwą ulgą, jeżeli zaprzestanę ustawicznego grania komedyi.

— I ja także jestem bardzo zadowolony — wtrącił Traddleton — bo pan, panie Grey, będzie miał więcej swobodnego czasu.

— Sposób, w jaki odprawiła Harry'ego przypomina prawdziwą Alicyę, zauważył po chwili milczenia Reginald, tylko, że ta nie zdecydowałaby się nigdy na amazonkę i siodło damskie. Coś panu powiem, panie Fraddleton: Niejednokrotnie przebywałam u moich krewnych w północnej i południowej Karolinie. Im dłużej obserwuję tę nową Alicyę, tem silniej dochodzę do przekonania, że była ona wychowaną gdzieś w południowych stanach.

— Dobrze. Zapamiętam to sobie — rzucił żywo Traddleton — to może stanowić użyteczną wskazówkę. W każdym razie początek zrobiony, a dalej... no! zobaczymy.

ROZDZIAŁ XI.

Wiatr poniósł w dal.

Pani Daisy Parington i jej mąż, zapalony sportsmen jechali konno leśną drogą, o tyle już oddaloną od miasta, że według wyrażenia samej pani Daisy „pachniało tam wsią". Przejażdżka trwała już przeszło dwie godziny, ale pani Daisy nie chciała wracać, twierdząc, że czuje w sobie nieprzemożoną chęć oddychania „prawdziwem" czystem balsamicznem powietrzem, łąkowo-leśnem i że pragnie choć raz uciec od miejskiego gwaru i sapania automobilów.

— Możemy przy tej sposobności wyszukać odpowiednią willę wiejską na letnie mieszkanie dla Irmy — rzekła....

— No, no — tak znowu naiwnym nie jestem, abym miał wierzyć w tę wiejską willę — zaśmiał się mąż — ty projektujesz jakiś porządny „kawał" moja droga... Ale co ty robisz? — zawołał zdziwiony, widząc, że żona skręca na wązką ścieżkę, wiodącą do małej rzeczki, a pozostawia na prawo dobry, wygodny gościniec.

Chłopiec na chudym kucu przejechał przez wodę, poczem wesoło pogalopował po szosie.

— On może, to i ja potrafię — zawołała tryumfująco pani Daisy.

Państwo Parrington, przedostawszy się na drugi brzeg, zwrócili się w kierunku południowo-zachodnim.

— Ależ tu pustka kompletna — zauważył Parrington — zdaje się, że nigdzie naokół niema żadnego domu...

— Nie bój się... Jest tu zbyt pięknie, aby się zaraz nie mieli pokazać ludzie... Toż to miejsce, jak stworzone na wille. Te gaje naokół, co za cudowny naturalny park!... chciałabym wiedzieć, co też za tym gajem jest?..

— Pewnie znowu drzewo, bo śladów ludzkich nigdzie nie widać... No! — hop! hop Daisy!...

Pogalopowali dalej w milczeniu. Nagle Daisy wykrzyknęła!

— Tutaj jest jakiś dom!... Widzę komin!...

— Tylko jeden?

— Tak... nie... widzę ich więcej... Pomyśl tylko... zdaje mi się w tej chwili, że jestem Krzysztofem Kolumbem!...

Ukazały się naprzód cztery kominy, a potem brama wiejska i poza nią szeroka droga jezdna, wiodąca do domostwa, położonego na wzgórzu. Dom przedstawiał się bardzo okazale, ale zdawał się być niezupełnie jeszcze gotów. Drzewa, które padły pod ciosem siekiery, aby umożliwić zrobienie drogi jezdnej, leżały jeszcze w nieładzie nieprzytnięte. Ten nieporządek mógł zadziwiać trochę w stosunku do eleganckiego wyglądu budynku.

— Zachwycająca willa! — zawołała Daisy — ale tak wygląda, jakby była niezamieszkaną.

— Niezamieszkaną? Czyż nie widzisz śladu kół na drodze? To są nawet ślady auta i to wielkiego!...

— Jedźmy dalej. Chciałabym spotkać kogoś, ktoby mi powiedział, czyj to jest dom i kto tam mieszkać może?

Wkrótce na zakręcie drogi ujrzeli wysokiego, barczystego mężczyznę, który bardzo skwapliwie jął udzielać informacyi, skoro zobaczył, że Parrington sięga do kieszeni.

— Tak, proszę pani, mogę powiedzieć. Stary Shipman zbudował ten dom dla swego syna malarza, który chciał mieszkać na wsi. Dom już był prawie gotów, kiedy zdarzyło się nieszczęście. Młody Shipman utopił się... Stary zrozpaczony pojechał na Południe, a willę wynajęto jakiejś starszej chorowitej damie z synem studentem. Ona właśnie teraz zamierza się wprowadzić, a jeżeli jej się spodoba, to kupi. Hipman podobno zamierza to wszystko nadzwyczaj tanio sprzedać.

— No widzisz! Daisy — zaśmiał się Parrington — ot! i masz twoją romantyczną historyę!... Starsza, słabowita dama z synem studentem.

Daisy roześmiała się również i popędziła swego konia. Zerwał się wiatr lekki. Drzewa zaczęły się zwolna przerzedzać.

— O! znowu kominy!... I dachy! — zawołała pani Daisy. — A gdybyśmy się zatrzymali? Mój koń...

Nie dokończyła. Koń jej w tej chwili skoczył nagle w bok tak gwałtownie, że mniej silnie trzymająca się w siodle amazonka byłaby niechybnie spadła. Daisy energicznie ściągnęła cugle i obojętnym tonem rzuciła:

— To nic! Koń się przestraszył, bo uderzyło go coś jaskrawego między oczy... Może to ptak jaki... O! chyba nie ptak!... Zawisło tu na gałęzi... Podajno mi, mój drogi...

— To kawałek brudnej czerwonej wstążki... Lepiej tego nie dotykaj, Daisy...

— Wstążka!... Daj! daj natychmiast. Oczy jej zabłysły.

— Chcesz to zatkać sobie za kapelusz jako trofeum? No, to masz tę brudną szmatkę.

Daisy obejrzała starannie czerwoną wstążkę, wygładziła ją.

— Co ty robisz? — zapytał zdziwiony Parrington, widząc, że żona chowa brudny gałganek za bluzkę.

— Już ja wiem, co robię! — odpowiedziała z uśmiechem. — Złapałam ptaszka i nie puszczę! A teraz wracajmy do domu!...

Daisy straciła nagle ochotę do rozmowy. Była tak silnie wzruszona, że zdenerwowania swego nie mogła ukryć. Brudny gałganek, znaleziony

przez nią, był skrawkiem czerwonej jedwabnej wstążki, zahaftowanej błękitnemi nićmi. Przy bliższej odserwacyi widziało się, że te napozór poplątane znaki tworzyły szereg liter, które można było w następujący sposób odcyfrować:

O REGIE JESTEM W WIĘZIENIU SPIESZ NA POMOC

ROZDZIAŁ XII.

Pokój z górnem światłem.

— Doprawdy, że już nie wiem, co robić!...

Gdyby miała na czem napisać list... westchnęła młoda dziewczyna, znajdująca w wielce oryginalnej poezyi. — Balansowała ona mozolnie na piramidzie poduszek, kołder, materaców, włożonych na metalowem łóżku. Na wierzchu tej piramidy wstawiono fotel na biegunach, a na nim znów nagromadzono jedwabne poduszki. Na całym tym stosie stała wykwintnie ubrana dziewczyna i silnie obejmując jedną ręką metalowy pręt, usiłowała drugą dosięgnąć do znajdującego się na pułapie okna.

(C. d. n.)

Ach! to jest mała tajemnica...

Pytano raz się pani Wery,
Skąd bierze na kosztowny strój,
Brylanty, gazy i rajery,
Wszak skromną pensyę ma mąż twój.
Twoja praktyczność nas zachwyca,
A zatem źródło wskazać chciej...
Ach! to jest mała tajemnica
I ja nie mogę zdradzić jej.

Napisał o nim dziennik znany,
Że paskarz tysiąc brał za sto,
A dzisiaj pieją mu peany,
Chlubą narodu zowią go...
Skądże się wzięła ta różnica
I jakiż powód zmiany tej?
Ach! to jest mała tajemnica
I ja nie mogę zdradzić jej.

Była dziewczyna, jak malowana,
Jak najpiękniejszy róży kwiat,
Ale poznała raz ułana,
Który jej zaraz w serce wpadł...
Czemuż się łzą mgli twa źrenica,
Płaczesz, choć mówią ci: się śmiej?
Ach! to jest mała tajemnica
I ja nie mogę zdradzić jej.

Przybyło raz do magistratu
Wagonów mąki pono sześć.
Ludek się cieszy: daj to katu!
Na kartki chleb będziemy jeść!...
Pobladły z głodu wszystkim lica,
A gdzież jest chlebuś z mąki tej?
Ach! to jest mała tajemnica
I ja nie mogę zdradzić jej.

Mir.

Z tajemnic życia pozagrobowego.

Przepowiednia śmierci przez nieboszczyka.

Od p. Stefana Krzypkowskiego w Sosnowcu (ul. Konstantynowska 8) otrzymaliśmy nast. list:

Czytawszy kilkakroć w „Życiu i Powieści“ artykuły dotyczące wypadków życia pozagrobowego, śmiem, jako stały czytelnik donieść Sz. Redakcyi o wypadku autentycznym, który miał miejsce w naszej rodzinie przed kilkoma dniami.

W poniedziałek 5 stycznia, przyszedłszy ze szkoły po obiedzie jak zwykle zażywałem spoczynku, gdy przyszedł do mnie kolega, który obok mieszka p. B. Gruszecki na pogawędkę. Między innemi zapytuje mnie, czy w naszej rodzinie jest „Hela“. Odpowiedziałem: „ Owszem jest, bo co takiego?“. Wówczas zaczął mi opowiadać, iż tej nocy przyszedł do jego matki przed rokiem zmarły ojciec (naturalnie we śnie) i powiedział jej, że u sąsiadki (tj. u nas) zmarła Hela, dlatego powinna zbierać się na pogrzeb. Ponieważ zaś siostra moja Hela była zdrowa, więc śmiałem się z oświadczenia mego kolegi i nie przywiązywałem do niego absolutnie żadnej wagi.

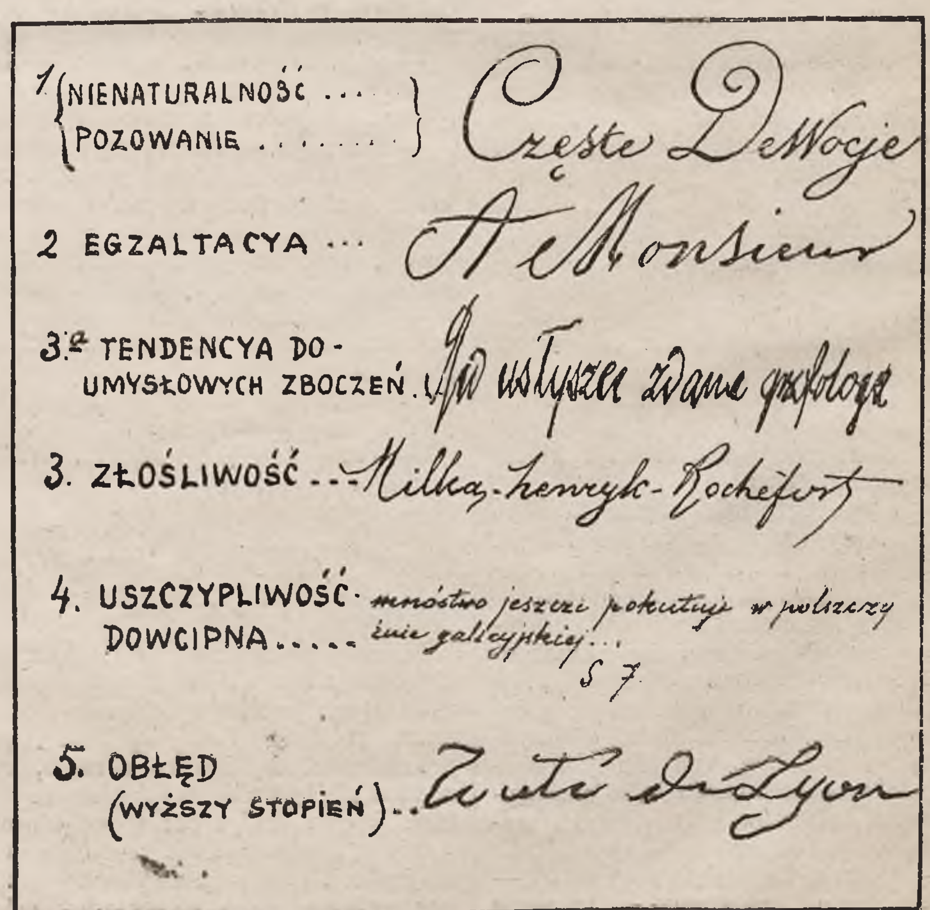
To samo opowiedziała rodzicom mym matka p. Gruszeckiego, lecz i rodzice nie zważali na nic, a siostra moja Hela śmiała się z tego.

Niestety, przepowiednia tego nieboszczyka była prawdziwą. Upłynął niecały tydzień, jak siostra moja Hela zmarła nagle dn. 11 z. m. i pochowaliśmy ją 14 z. m., czego się żaden absolutnie nie spodziewał. A jednak owa przepowiednia miała pewną wagę.

Nasz dział grafologiczny.

Pokaż mi swe pismo, a powiem ci, jaki masz charakter.

Szanowni czytelnicy „Życia i Powieści“ wiedzą już zapewne z dzienników, czem jest grafologia i jakie ma zastosowanie. Tym, którzy nie zajmowali się nią do tej pory, przypomnimy, że grafologia jest umiejętnością pozwalającą z pewnych cech pisma danej jednostki odgadnąć niektóre właściwości charakteru, temperamentu itd. W numerze dzisiejszym podajemy ilustracyę niektórych ciekawych wzorów pism, a obok ich objaśnienie. W numerze następnym zamieścimy ocenę grafologiczną listów, jakie otrzymaliśmy od naszych rocznych prenumeratorów, gdyż tylko ci w tej rubryce otrzymają bezpłatnie stosowną dyagnozę.



Nad polskiem morzem.

Aczkolwiek naturalnem geograficznem wyjściem ziem polskich do morza jest cała zatoka gdańska, dzięki jednak wczesnemu usadowieniu się nad nią Krzyżaków i kolonizacyi niemieckiej, wyjście to znacznie się zwęziło. Tym sposobem Polska historyczna mogła mieć ograniczoną tylko ilość portów. To też dwa tylko punkty: Gdańsk i Puck odegrały rolę już to w handlu morskim, już to jako przystań wojenna.

Gdańsk był prawieczną osadą. Wiadomo, że w r. 997 św. Wojciech w podróży swej misyjnej dochodził do okolic tamtejszych, od czasów też Bolesława Chrobrego Gdańsk był grodem królewskim i dopiero przy wyodrębnianiu się księstw pomorskich uzyskał własnych książąt. Wraz z całem Pomorzem wrócił do Polski w XIV wieku, w 1306 r. Łokietek na rynku gdańskim odebrał przysięgę wierności od mieszczan tamtejszych w rychle jednak Gdańsk wpadł w ręce krzyżackie i do 1466 r. był pod panowaniem niemieckiem, z konieczności wspierając Krzyżaków w walkach przeciw Polsce. Ale panowanie krzyżackie nie musiało być słodkie, skoro podczas dwunastoletniej wojny Kazimierza Jagiellończyka z zakonem, gdańszczanie najusilniej dopomagali Polsce, a nawet w 1454 r. samorzutnie wyparli z tamtejszego zamku załogę niemiecką.

Gdy 1457 r. Jagiellończyk przybył do Gdańska, mieszczanie nietylko nader serdecznie przyjęli króla, ale w ofierze na dalsze prowadzenie wojny złożyli ogromne ilości złota i srebra, nie wyłączając klejnotów kobiecych. Król Kazimierz naprawdę po królewsku wywdzięczył się miastu — wyniósł je do godności wolnego miasta, czyli pozwolił mu sprawować całkowity samorząd, aż do posiadania własnej monety. Samorządne, handlowe miasto wykorzystywało monopol portowy i skupiło w swem ręku całkowity obrót zbożowy Rzeczypospolitej.

Posłuchajmy, co mówi o Gdańsku XVI wieku Klonowic we „Flisie“:

„Tu już przyjedziesz do misternej Windy,
tu ujrzysz dziwnych rzeczy na przebindy,
jakom powiedział już tu masz śpichlerze,
masz i machlerze.

Tu masz okręty z płóciennymi skrzydły,
tu masz z zamorza trefne skrzydły-widły,
muszty wyniosłe z bocianiemi gniazdy
pod same gwiazdy.

— — — — — — — — kupce i ziemiany,
przedawaj, kupuj, handluj, bij dłonią w dłoń,
zysk sobie ugoń.

Bo tu masz szyprze rozmaite głowy,
jedni pieniędzmi kupczą, drudzy słowy,
a już ów kupiec nie bardzo warowny
co nazbyt mowny.

— — — — — — — — — — —

Ty się dzierż tych słów, co je w mieszek kładą,
nie gardź mą radą“.

Albowiem sprytni i zazutni kupcy ówcześni umieli operować kredytem nie gorzej od współczesnych, a przy niezależnych sądach, umieli nieraz i naciągnąć łatwowiernego ziemianina. Dość, że miasto bogaciło się z roku na rok i przybywało buty sławetnym mieszczanom, że parokrotnie próbowali buntować się przeciw zwierzchniej władzy królewskiej. Roku 1568 napadli na zaczątki polskiej marynarki wojennej i zniszczyli ją, 1577 wystąpili przeciw królowi Stefanowi, obydwa jednak razy musieli się w końcu ukorzyć.

Gdańsk, a raczej jego port, przez całe osiemnaste stulecie stanowił pokusę dla „życzliwych“ sąsiadów Polski. Już w 1758 roku Rosyanie podstępem próbowali obsadzić miasto, po pierwszym rozbiorze Polski Prusacy różnymi sposobami szykanowali miasto, wreszcie zajęli je siłą w 1793 roku, jak jednak życzliwie Gdańszczanie byli usposobieni dla nowych władców, dowodzi spisek 1797 roku mieszczan i miejscowej młodzieży szkolnej, który jednak zbyt wcześnie wykryła tajna policya pruska. Był to ostatni przejaw obrony niezależności i praw, gdyż od tej chwili coraz bardziej Gdańsk był spychany na poziom prowincyonalneg miasta i podrzędnego portu.

Port gdański nie należy do najwygodniejszych i nie posiada współczesnych urządzeń wielkoportowych,

Joe i Dorrit.

(Amerykańska historya).

Kiedy Joe miał lat sześć, rysował tak zawzięcie krowy i owce z obór swego ojca na okładkach zeszytów i książek, że za te „bazgraniny“, jak je nazywał ojciec, brał często w skórę.

Ale nauczyciel we wsi, sam jakiś nieszczęsny, wykolejony artysta, widział w nim przyszłą gwiazdę na niebie sztuki i zachęcał Joego, aby w dalszym ciągu odtwarzał przyrodę.

Kiedy Joe miał lat dwadzieścia, malował kolorowemi kredkami widoki okolicy.

Na jednym z obrazków uwiecznił tak jaskrawemi barwami szyld kupca z sąsiedniego miasteczka, że ten zakupił obrazek, umieścił go w oknie wystawowem swego sklepu oraz postarał się o pochlebną zmiankę w lokalnem czasopiśmie tygodniowem.

Tygodnik ów w szumnych słowach obwieścił światu pojawienie się nowego geniusza w sztuce. Joego porównano z Rafaelem, Rubensem, Rembrandtem.

Ojciec sprzedał dwie krowy i pszenicę na pniu, aby Joe mógł sobie kupić fantastyczny z szerokimi brzegami kapelusz meksykański oraz paletę, stalugi, pendzle, prawdziwe olejne farby i wyjechać do Nowego Jorku na studya.

Naturalnie miał tam zabłysnąć na firmamencie sztuki gwiazdą pierwszej wielkości i blasku. Obrazy swoje będzie sprzedawał wyłącznie Carnegiem, Vanderbildtom i innym niesłychanie bogatym mecenasom sztuki.

— — — — — — — — — —

Dorrit była córką właściciela plantacyi ananasów w Południowej Ameryce.

Na jedynastu oktawach swego rozstrojonego nieco fortepianu wygrywała takie melodye, że rodzina uznała za stosowne wysłać ją na północ do Nowego Jorku dla dalszego kształcenia tego cudownego talentu.

Zebrała się w tym celu specyalnie rada familijna, na której krewni postanowili wspólnemi siłami zaopatrzyć Dorrit w pewien zapas pieniężny, aby mogła wyruszyć w świat po laury i sławę.

W wyobraźni zacnych krewniaków snuły się naturalnie marzenia o kolosalnych sukcesach, o niezwykle korzystnych „engagements“, królewskich honoraryach, przewidywali „tournes“ artystyczne po Ameryce i Europie, oczyma duszy czytali już kilometrowe hymny pochwalne w dziennikach i czasopismach, widzieli portrety „sławnej pianistki“ na łamach pism, na kartkach pocztowych i na wystawach zakładów fotograficznych.

Pojechała zatem Dorrit wyposażona obficie w dobre rady i najszczersze życzenia, daleko jednak skromniej w pieniądze.

Przybyła do Nowego Jorku i została uczenicą sławnego mistrza Kakofoniego w tym samym czasie, kiedy Joe rozpoczął swoje studya malarskie pod kierownictwem wielkiego Kleksantiniego.

Joe i Dorrit poznali się w pewnej skromnej kawiarni, gdzie schodzili się młodzi adepci sztuki — kandydaci i kandydatki do sławy we wszelkich dziedzinach artyzmu.

Popijano tam czarną kawę i whisky z wodą sodową, rozprawiając o Chopinie i Wagnerze, Rafaelu i Ropsie o praerafalitach i kubistach, wymyślano na bezduszny pedantyzm starych „majstrów“ i głupotę tuzinkowej publiczności, obalano wreszcie uznane wreszcie uznane sławy i autorytety, stwarzając nowe wartości.

Joe i Dorril brali żywy udział w artystycznych dyskusyach i wkrótce poczuli tak silną sympatyę wzajemną ku sobie, że po krótkim namyśle postanowili stwierdzić ją związkiem małżeńskim u ołtarza,

gdyż Niemcy za wszelką cenę dążyli do podniesienia Bremy i Hamburga, ale taki nawet jak jest obecnie, może odegrać poważną rolę w handlu polskim, gdańszczanie zresztą sami rozumieją, że rozwój miasta zależy tylko od rozwoju portu. Ale jest to przystań wyłącznie handlowa, a Polska musi mieć i port wojenny. Rozszerzanie w tym celu portu gdańskiego nie zdaje się być celowem gdyż bądź co bądź Gdańsk jest niezupełnie zależny od Polski, więc naturalnie zupełnie wysuwa się myśl o drugim porcie polskim — Pucku, który właśnie ma tradycye wojennej przystani polskiej.

Puck leży nad brzegiem zatoki Puckiej, zwanej przez Kaszubów Małem morzem. Zatoka ta płytka z powodu nanoszonego do niej przez Wisłę piasku, który, wciskając się w kąt między lądem a półwyspem Helą, zamula zatokę. Specyaliści wszakże twierdzą, że przekopanie kanału przez Helę na wschód od Wielkiej Wsi przez otwarcie wolnego przepływu fal morskich już poprawiłoby położenie, a celowe roboty pogłębiłyby zatokę i przeistoczyły w jeden z lepszych portów.

Puck, wedle kronikarzy niemieckich, został założony w 1150 r. przez ks. pomorskiego Bogusława i przechodził koleje losu jednakże z całem Pomorzem, z tą jedynie różnicą, że zawsze był grodem dość znacznym gdyż mieściło się w niem starostwo.

W r. 1632 Sejm uchwalił obwarowanie Pucka i założenie portu dla mającej powstać marynarki polskiej. W ciągu czterech lat król Władysław IV. dokonał dzieła, a nawet zrobił więcej, gdyż wzniósł opodal dwa silne porty. Władysławów i Kazimierzów, mające czuwać nad bezpieczeństwem przystani, w której umieszczono 12 okrętów wojennych.

Wedle lustracyi nieco późniejszej (z r. 1678) zamek pruski stoi nad morzem in contiguitate miasta, wałami dobrymi opasany, koło miasta także wały dobre, w których cztery są bateryе, a piąty bastyan.

Ceghauz (arsenał) pucki wedle tejże lustracyi zawierał: spiżowych dział 12, żelaznych 10, 12 dział okrętowych krótkich, 7 dział szrótowych (?): 4 działa spiżowe i 11 żelaznych, wojewoda malborski Weyher zabrał do Gdańska. Kul do armat 4.251, prochu centnarów 36, nieco saletry i siarki, kul muszkietowych 172.148, muszkietów 103, bandelerów piechotnych (odmiana muszkietu) 44. Pozatem inwentarz wykazuje różne zapasy już to w narzędziach, już w białej broni.

Wedle dzisiejszych pojęć był to bardzo ubogi arsenał, biorąc jednak pod uwagę ówczesne stosunki (po wojnach szwedzkich), stwierdzić możemy, że zaopatrzenie zamku puckiego było wcale dostatnie i stosowne do obrony przystani, tembardziej, że zarówno Władysławów jak i Kazimierzów posiadały własne arsenały.

Krótko jednak Puck grał rolę portu wojennego. Po zawierusze wojen szwedzkich zapomniano w Polsce szczęśliwie o marynarce wojennej, marniała zatem przystań Pucku, aż za czasów pruskich zeszła do poziomu zwykłych rybackich przystani. Może jednak teraz zaświtają Puckowi znowu lepsze czasy i na falach zatoki zakołyszą się stalowe kadłuby polskich krążowników i torpedowców, a wskrzeszone i przeobrażone forty portowe wyjrzą na wody oczami stalowych dział.

Musimy mieć podstawę bojową morską, a taką podstawą może być tylko stary Puck. **Emwer.**

Zapusty.

Zbliżyły się zapusty — czy też zapust lub mięsopust — jak w dawnej Polsce mawiano. Niekiedy czas ten nazywano karnawałem. Trudno dociec, skąd nazwa ta się wywodzi, czy od „carne avalere“ — mięso połykać, czy od „carne levamen“ — z mięsa się oczyszczać, czy też od „carne vale“ — mięso żegnaj. Wstępem tego ochoczego i wesołego czasu są kolędy i jasełka, szopki i kolędowanie z gwiazdą i z vertepem, królem Herodem i kozą, organizowane zazwyczaj w czasie od wigilii Bożego Narodzenia do Nowego Roku.

Po ślubie młoda para wprowadziła się do mieszkanka, zadziwiającego szczupłością swoich rozmiarów.

Umeblowanie było skromne, nawet więcej, niż skromne, a urządzenie kuchenne kupiono w dziesięciocentowym bazarze.

Jednakowoż przysmaki, podawane na wykwintnych talerzach, a przyrządzane własnemi rączkami Dorrit smakowały wyśmienicie, a jeszcze lepiej te specyały, które można było jeść wprost z papieru, jaki je owinięto w sklepie.

Oszczędzało to młodej gosposi trudu gotowania i mycia naczyń.

Najdoskonalszym deserem była zasze dla nich rozmowa o ukochanej sztuce, o muzyce, o malarstwie, wreszcie o młodości, o swojej miłości i znowu o miłości.

I czuliby się zupełnie szczęśliwi na dziesiątem piętrze nowojorskiego „drapacza chmur“, gdyby mały zapas pieniężny nie począł się wyczerpywać z przerażającą szybkością.

Zjednoczone kapitały wysychały, jak wązki strumień w upał lipcowy. Artystyczna para stanęła w obliczu katastrofy finansowej

Nie zapłacili już czynszu za miesiąc, a obiady ich nie różniły się niczem od śniadań i kolacyi.

A tymczasem nie zgłosił się żaden impresaryo, któryby zaproponował Dorrit „tournee“ artystyczne na niesłychanie wysokich warunków pieniężnych. Nie pojawił się także ani jeden z tych miliarderów i innych mecenasów sztuki, którzy powinni byli kupować obrazy Joego na wagę złota.

Trwało to czas jakiś. Joe tracił humor, stawał się posępny, małomówny. Trudno wszak filozofować lub kochać się na głodno.

Pewnego dnia wróciła Dorrit do domu rozpromieniona, uśmiechnięta, różowa.

W ręku niosła sporą paczkę, którą rozwinęła zaraz, okazując dowodnie, że zawiera rumiane bułeczki, apetyczną, różową szynkę i świeże masło.

— Jedz, Joe — jedz mój najdroższy. Możemy sobie na to pozwolić.

Joe spoglądał zdumiony, przysunął sobie jednakowoż skwapliwie przysmaki. Przekrajał bułkę, skosztował masła, było doskonałe. Położył sobie na bułce płat szynki, wyśmienita!

— Co się stało, Dorrit? — zapytał — czy może jakie „engagement“ koncertowe?

— Ach! nie, ale dostałam dzisiaj lekcyę, nadzwyczajną lekcyę. Wyobraź sobie generał Johnson ogromnie bogaty człowiek przyjechał do Nowego Jorku ze swoją córką, piętnastoletnią Giną, którą pragnie kształcić w muzyce. No i mistrz Kakofoni polecił mnie! Co za szczęście! Pomyśl! 15 dolarów tygodniowo! Toż to majątek! A jaki sympatyczny ten stary generał, co za dom prawdziwie pański, urządzony z wykwintnym artystycznym smakiem, jaka miła ta moja uczenica!

Joe zerwał się i gwałtownym ruchem ręki odsunął bułki, masło i szynkę.

— Nie pozwolę na to nigdy! — zawołał — abyś ty miała udzielać lekcyi, zatracać w rzemieślniczej pracy twój „boski“ talent, abyś się męczyła słuchaniem monotonnych gam i fałszywie granych etiud.

Dorrit zarzuciła mężowi ręce na szyję, przytuliła się do niego i zaczęła perswadować:

— Joe! mój najdroższy Joe! Ty się mylisz! Ucząc muzyki, uczę się przytem sama, żyję przecież nieustannie w atmosferze mojej ukochanej muzyki. A możemy żyć szczęśliwe i dostatnio, jak milionerzy! Zastanów się tylko: 15 dolarów tygodniowo!

— A zatem dobrze — zgodził się Joe, przysuwając sobie znowu bułki i wędlinę. — Wprawdzie nie mam ochoty, abyś ty udzielała lekcyi, bo to już odstępstwo od czystej sztuki, skoro je-

Od wieków są tedy zapusty uprzywilejowaną porą wszelkiego rodzaju zabaw, widowisk, maszkar, uczt, wesołości i pustoty. Rozpoczęto suto i wesoło Godami (tak bowiem w dawnej Polsce zwano święta Bożego Narodzenia i ostatnie dni w roku), w Polsce były zapusty porą wesel u szlachty i kmiotków i porą słynnych kuligów.

Z rozgwary Kmosia z Bartoszem na Za-Wiślu, pozostała pieśń zapustna:

„Mięsopusty, zapusty,
Nie chcą państwo kapusty,
Wolą sarny, jelenie
I żubrowe pieczenie".

Państwo — jak głosi pieśń — zjada kuropatwy, a potem do tańca powstaje.

A bo też są tańce różne, żeby się kawalerowie słusznie pannom przypatrywali. Na to „świeczkowy", żeby, jeśli który nie dojrzy, lepiej ją widział przy świecy, którą przed sobą niesie. Na to „mieniony", żeby z boku obaczył tem lepiej, jak chodzi, na to „goniony", żeby widział, jeśli nie kaleka albo nie „dychawiczna", na to „śpiewany kowal", żeby słyszał, jeśli nie niema, na to „Niemiec", żebyście jak w garncu kołatali, czy dobra miedź i złość, jeśli się w niej ozwie, na to „angielskie tańce", świeżo wprowadzone, żebyście ku sobie rękami klaskali i miotali się z sobą.

Po tańcu i tak małmazyą sobie podpiją i wówczas zdarza się:

„Za wszystko wdowie stanie,
Kiedy się jej dostanie
Po rozmowy młodzieniec,
Gotów jemu jej wieniec".

Wesoło tedy bywało w starej Polsce w mięsopust. Po parze panienki wszedłszy, pokłaniają się i wiodą rej, ująwszy dłonią jedna drugą i wywabiają „wesołe z za stoła młodzieńce — a ci z niemi tańcują chędogo o wieńce". Potem cenar z gonionym, a gdy koniec półmisków zdejmą i obrusy — bąk z miejsca porusza wszystkich. Jedna śmielsza wówczas słodkim głosem zaczyna. „Oni zaś powtarzają za nią owe słowa, które śpiewa powoli gładka białogłowa".

Ale nietylko w mięsopust bawiono się tak wesoło. Szukano chętnie za podobnemi okazyami. A było ich wiele. W święta i na imieniny, na zaręczyny, wesele, chrzciny, ale najwięcej łakomych ochot było od tłustego czwartku. Szlachta niższej fortuny wyprawiała w zapusty kuligi. Dwóch lub trzech sąsiadów, zmówiwszy się, zabierano żony, dzieci, czeladź, a wpakowawszy się na sanki, a gdy śniegu nie było, na kolaski, jechali do sąsiada, ani nie proszeni, ani nie uwiadamiając go poprzednio. Tak go zaskoczywszy, kazali dawać jeść i pić sobie, bez wszelkiej ceremonii, wypróżnili mu piwnicę i spiżarnię, a potem zabierali nieboraka ze sobą i całą jego rodzinę i ciągnęli do innego sąsiada, któremu podobne psotki czynili, aż kończyli na tych, którzy kulig zaczynali. Ci, zazwyczaj ubożsi, nie długo kompanię u siebie gościli, ileże biesiadowaniem w innych domach była znużoną. Najbardziej zawadyackie były kuligi w województwie rawskiem.

Wpadając od dwora do dwora, śpiewano:

„Wpadliwa tu z hukiem, krzykiem,
Z weseliskiem i kuligiem".

Kolorowe miasto.

Znany angielski architekt Grossley Davien rozwinął w czasopiśmie fachowem „Architects Journal" plan, mający na celu ożywienie i urozmaicenie monotonnego i posępnego wyglądu Londynu. Davien domaga się budowania na wzór szwajcarski wodotrysków barwnie malowanych. Dużo trawników, klombów kwietnych, balkony ozdobione kwiatami — wszystko to ma rozweselać smutną fizyognomię stolicy nad Tamizą. Bruki mają być wykładane czerwonemi cegłami i białymi kamieniami. Domy mają wabić oko różnorakiemi barwami malowanych cegieł i majoliki. Sklepy niech uderzają jaskrawymi kontrastami kolorów, a obramowania drzwi i okien niech będą utrzymane w ciepłych subtelnych tonach. Przy budowie publicznych gmachów winno się uwzględniać w jak najszerszym zakresie kolorowy marmur, ozdoby z bronzu itp.

---

dnak upierasz się... Zresztą dzisiaj właśnie „signor" Kleksamani wyraził się bardzo pochlebnie o moich szkicach, a Charley Holmes, wiesz ten, który ma salon sztuki, pozwolił mi, abym na jego wystawie umieścił dwa obrazy. Być może, że je sprzedam, gdyby znalazł się idyota, któremu spodobałyby się.

— Jestem przekonana, że je sprzedasz — oświadczyła Dorrit, z apetytem zabierając się do jedzenia.

Od tego dnia począwszy młodzi małżonkowie jadali śniadania bardzo wcześnie.

Już o godzinie 6-tej rano wabiły Joego niezwykłe efekty świetlne w Parku Centralnym, sperlonym rosą poranną.

Wracał do domu dopiero o godzinie 7-mej wieczorem.

Kiedy w końcu tygodnia przyszedł jak zwykle do domu: zobaczył na stole 15 dolarów.

Dorrit głosem, któremu starała się nadać intonacyę możliwie obojętną, a w którym jednak przebijała pewna duma i zadowolenie, rzekła:

— Pojęcia nie masz, co ja za męki przechodzę z tą Giną! Jedną i tę samą rzecz muszę tłómaczyć jej trzy i cztery razy, jeden takt powtarzać kilkakrotnie. To bywa czasem niesłychanie nudne i monotonne. Ale ten generał! Cóż to za miły, dobrotliwy człowiek! Często przychodzi podczas lekcyi i wypytuje się, jakie postępy czyni jego córka w muzyce. Ach! gdybyś ty mógł widzieć jakie piękne, antyczne wazy greckie i etruskie ma generał w swoim muzycznym salonie, co za drogocenne gobeliny na ścianach!

Joe wyciągnął z kieszeni sakiewkę, w ostatnich bywała ona najczęściej przerażająco pustą i wydobył z niej naprzód banknot dziesięciodolarowy, potem pięć dolarów, potem dwa dolary, wreszcie jeszcze jeden dolar.

— Sprzedałem te szkice — rzekł — kupił je bogaty kamienicznik z Baltimore.

— Rzeczywiście? — zawołała Dorrit — kamienicznik z Baltimore? Skądże on się wziął w Nowym Jorku?

— Przyjechał za interesami. Ach! gdybyś go mogła widzieć! co za pyszna figura. Mały, gruby, pękaty, ze złotym łańcuszkiem od zegarka na wydatnym brzuszku. Wiecznie dłubie szyldkretową wykałaczką w zębach. Szkice zobaczył na wystawie i myślał z początku głupiec, że to są fotografie z wystawy przeciwgruźliczej. Kupił jednakowoż, a nawet zamówił sobie nowy obraz: widok centralnego dworca kolejowego. Przyrzekłem przynieść mu obraz w przyszłym tygodniu. Chce go wziąć zaraz ze sobą do Baltimore. O! sztuka może wyżywić artystę, tylko trzeba mieć cierpliwość!... Talent znajdzie zawsze swoich czcicieli i przyjaciół choćby pośród kamieniczników z Baltimore.

— Jakże się cieszę! — zawołała radośnie Dorrit — że zrobiłeś dobry początek! Zobaczysz, teraz pójdzie wszystko jak z płatka! 33 dolary! Takiej sumy nie widzieliśmy już dawno! Proponuję, ażebyśmy sobie dzisiaj „zafundowali" ostrygi.

— I kurczęta nadziewane z kompotem! — dokończył Joe.

— Włóż kapelusz, pójdziemy na kolacye do restauracyi! Będziemy używali, jak milionerzy!

W następną sobotę pierwszą przyszedł do domu Joe. Położył na stole 18 dolarów i umył sobie ręce. Były czarne, jakby od jakiejś farby.

Zaledwie oczyścił swoje ubranie, przyczesał włosy, przewiązał krawat, weszła Dorrit, starając się zręcznie ukryć prawą rękę, której palce wyglądały z pod białego bandażu, owiązującego całą dłoń.

— Co się stało? — zapytał troskliwie Joe.

— O! nic wielkiego, mój drogi Joe — zaczęła Dorrit z wymuszonym nieco uśmiechem — podczas lekcyi

Jak poseł Witos wydawał córkę za mąż.

Dnia 1 i 2 b. m. odbywało się w Wierzchosławicach wesele w domu posła Witosa. Córka-jedynaczka posła Witosa wyszła za mąż za gospodarza z sąsiedniej wsi, Stawarza. Do Wierzchosławic przybyło w sobotę na ślub około 30 posłów P. S. L. z całej Polski i około 200 gości. Przybył też min. Bardel, gen. del. Gałecki, wicemin. Dudek i w. in. Ślub odbył się w kościele parafialnym.

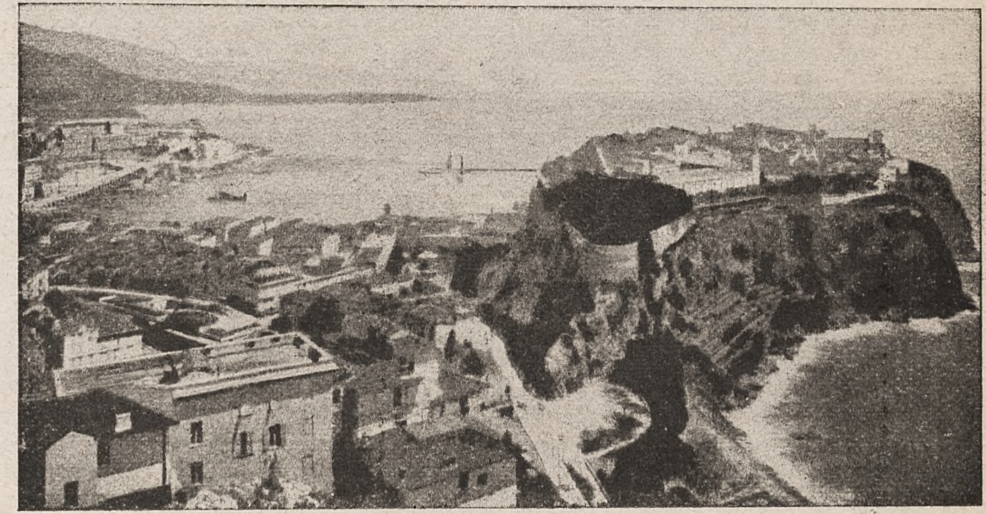
Wczasie obiadu wznosili toasty: Wicemarszałek Sejmu p. Osiecki, gen. del. Gałecki, poseł Rataj, min. Bardel, poseł Nawrocki, poseł Kurczak, poseł Dąbski, poczem serdecznie dziękował poseł Witos.

Na drugi dzień pp. Stawarzowie podejmowali gości w swoim domu. Było to ciekawe wesele chłopskie współczesnej Polski, na którem obok gospodarzy i wójtów zasiedli ministrowie, ekscelencye, marszałkowie i posłowie sejmowi. Istny wizerunek przekształcającej się Polski.

Co można zrobić z człowieka?

Pewien amerykański — naturalnie, że amerykański — chemik — zrobił ciekawe zestawienie. Wykazał, co można zrobić — z człowieka.

A zatem otrzymuje się: sto żółtek i tyleż białek. Każdy dorosły człowiek może być zamieniony na sto metrów kubicznych gazu. Z żelaza, w ludzkim organiźmie zawartego, można zrobić 7 gwozdzi średniej wielkości, z tłuszczu 7 kilogramów świec, z fosforu 820 f. główek do zapałek. Organizm dorosłego człowieka zawiera 80 łyżek soli, 60 kawałków cukru i 42 litry wody.



Państwo księcia Monaco.

Rycina nasza przedstawia Monte-Carlo, które obecnie zaczyna znowu gromadzić przybyszów z całego świata, pragnących spróbować szczęścia przy grze w ruletę!... Monte-Carlo — moloch nienasycony, który już tyle pożarł ofiar, tyle istnień młodych zgubił, tyle szczęścia zniweczył!... Miasto pogoni za złotem runem!... Na lewo widzimy słynne kasyno, gdzie znajdują się sale gry. Na prawo na skalistym przylądku wznosi się rezydencya księcia Alberta, oraz Muzeum oceanograficzne jego fundacyi. W pośrodku na pierwszym planie Monaco i port.

dzisiejszej zachciało się nagle Ginie lemoniady gorącej. Ponieważ jest to rozpieszczona jedynaczka, więc każde jej życzenie jest rozkazem. Limoniadę wnet przyrządzono, ale Ginia była tak niezgrabną, że pół szklanki wrzącej wody wylała mi na rękę. Krzyknęłam w pierwszej chwili, bo limoniada była bardzo gorąca. Generał przestraszony przybiegł zaraz, trzeba ci było widzieć, jak ten dobry człowiek troszczył się o mnie. Posłał służącą natychmiast do sklepu po bandaż, a potem sam mi opatrzył rękę. O Joe! — zawołała nagle, spostrzegłszy pieniądze na stole — ty znowu sprzedałeś obraz?

— Tak jest, moje drogie dziecko, i ten kamienicznik z Baltimore zamówił u mnie nowy obraz. Ale powiedz mi o której godzinie zdarzył ci się ten przypadek z gorącą limoniadą?

— O 5-tej godzinie — odparła Dorrit. — Tak, mniej więcej o 5-tej godzinie spadło mi żelazko. Och! co ja mówię — wylała mi się limoniada na rękę... Chciałabym, żebyś widział starego generała, kiedy...

— Usiądź, moja droga Dorrit — przerwał jej Joe, pociągając na rozsuwaną sofę, która w nocy zastępowała łóżko.

Objął żonę czule w pół i spojrzał jej w oczy.

— Powiedz mi Dorrit, coś ty robiła w ciągu tych dwóch ostatnich tygodni — zapytał spokojnie, ale stanowczo.

Z sercem przepełnionem miłością chciała zacząć znowu swoją historyę o starym generale, ale głos uwiązł jej w gardle. Nie patrzeć wprost w oczy Joemu, opuściła głowę, z pod powiek trysnęły jej łzy, a z niemi cała prawda.

— Niepodobna było znaleźć uczennicy — zaczęła gorączkowo — a nie mogłam przecież pozwolić na to, abyś ty przerywał swoje studya. Więc objęłam posadę prasowaczki w wielkiej pralni parowej w Alcii 168. Zdawało mi się, że tę historyę o generale skomponowałam bardzo zgrabnie. Dzisiaj całą drogę myślałam nad tem, jak ci wytłomaczyć moje skaleczenie. No i przyszedł mi do głowy doskonały pomysł z gorącą limoniadą. A naprawdę to było tak, że moja sąsiadka upuściła mi gorące żelazko na rękę. Mój drogi Joe, nie gniewaj się. Gdybym się nie wzięła do tej pracy, nie mógłbyś malować, nie byłbyś sprzedał dwóch obrazów temu bogatemu kamienicznikowi z Baltimore!...

— Ten kamienicznik nie jest z Baltimore — rzekł z uśmiechem Joe.

— Wszystko jedno, skąd jest, byleby obrazy kupował. Ale ty dzisiaj jesteś tak dziwny, mój Joe, taki poważny. No, pocałuj mnie, choć raz!... A jak ty wpadłeś na myśl, że ja u generała nie uczę!

— To podejrzenie wzbudziło się we mnie dopiero dzisiaj — tłomaczył Joe — a powodem tego był twój bandaż. Poznałem bowiem, że jest to ten sam, który ja dzisiaj o godzinie piątej posłałem na górę dla jakiejś zranionej robotnicy. Od dwóch tygodni pracuję w tem samem przedsiębiorstwie jako palacz przy kotle parowym.

— Więc ty nie sprzedałeś twoich obrazów?!

— Twój generał i mój mecenas sztuki są to osoby istniejące jedynie w naszej wyobraźni! Tak! moja droga Dorril wyglądają marzenia, a tak rzeczywistość!...

Gorące spojrzenie, jasny uśmiech, a potem długi, długi pocałunek, który dał im odpowiedź na wszystkie pytania, krążące w tych dwóch marzycielskich głowach. M. J. M.

W dziewiczych krajach Afryki.

10 (Dalszy ciąg).

— Brawo — pomyślał sobie Noel, zacierając ręce — jutro wieczorem będziemy stąd daleko.

Rozkazawszy dalej prowadzić czynność pomimo nocy, już zabierał się do kajuty, aby wypocząć nieco, kiedy Davis zbliżył się do niego z miną niespokojną.

— Kapitanie — rzekł doń nocichu— dwaj krajowcy, przybywający z brzegu powiadają, że o półtora tysiąca sążni od ujścia Rio das Mortes, statek trzy razy większy od naszego zarzucił kotwicę.

— Co myślisz o tem, Davisie? — zapytał Noel, blednąc.

— Obawiam się, czy to nie jest fregata angielska, szukająca Walecznej, a w takim razie...

— W takim razie — dokończył kapitan, zaciskając zęby — bylibyśmy pochwyceni w legowisku. Czy czarni mówili z ludźmi Gobbiego?

— Nie, bo żądali ode mnie dwóch butelek tafii za powierzenie sekretu, którego ważność rozumieć się zdają.

— Zatrzymaj ich, zanim zdołają porozumieć się ze swoimi.

— Są tu pod strażą dwóch naszych, którym ich spoić kazałem.

— Dobrze!... niech ich pilnują do jutra rana. Jeżeli wieść przyniesiona jest fałszywą, co jest możliwem, są to poprostu szubrawcy, którzy kosztem naszym upić się chcieli; ale jeżeli mówią prawdę, nie trzeba, żeby o tem dowiedzieli się inni murzyni, bo to mogłoby wzniecić popłoch bardzo szkodliwy dla naszego interesu.

— Zrozumiałem odrazu, jak ważnem było ich zatrzymanie, dlatego rozporządziłem się, zanim ostrzegłem pana.

— Pan, panie Davis, z trzema wyborowymi ludźmi udasz się do ujścia Rio das Mortes i przejrzysz morze moją lunetą nocną. Jeżeli spostrzeżesz okręt, postarasz się go rozpoznać, a w potrzebie pozostaniesz do wschodu słońca dla przekonania się o zamiarach jego. Tymczasem, jeżeli spostrzeżesz coś niezwykłego, pozostaniesz na czatach, ale uprzedzisz mnie o tem przez jednego ze swych ludzi.

— Kapitanie, pozwolisz sobie zrobić jedno pytanie?

— Słucham pana.

— A gdybyśmy się przypadkiem nie mylili; gdyby to rzeczywiście była fregata angielska, nas szukająca?

— Znaczyłoby to, że gdzieś zostaliśmy sprzedani, w Bordeaux, w Brazylii, lub w Saint-Paul de Loanda.

— Cóż tedy zrobimy?

— Rzecz bardzo prosta. Ładunek nasz jutro wieczorem gotów będzie, podniesiemy więc kotwicę w nocy i całą siłą pary przemkniemy się przez ujście rzeki.

— A gdyby jutro rano, dowiedziawszy się o naszem położeniu, fregata stanęła wpoprzek niego i zamknęła nam drogę?

— Wtedy, do stu szatanów, wybiłaby ostatnia godzina „Osy“. Wtedy wypuściłbym na wolność murzynów, zabralibyśmy broń i amunicyę, statek wysadziłbym w powietrze, a sami powędrowalibyśmy w głąb Afryki. Kto wie, panie Davis — mówił dalej Noël tonem szyderczym — czy nie założylibyśmy jakiegoś królestwa nad brzegami Zambezi.

— Przychodzi mi myśl do głowy, kapitanie — rzekł młody porucznik, nie zdając się zwracać uwagi na żarcik zwierzchnika.

— Cóż to za myśl?

— Przypuszczając, że to jest rzeczywiście statek strażniczy, który tu licho przyniosło; ponieważ jesteśmy zaledwie o dwa tysiące sążni od ujścia Rio das Mortes, więc za godzinę dowiem się o prawdzie. Otóż w takim razie, czy nie dobrze byłoby mieć „Osę“ pod parą, przyspieszyć ładowanie i wyruszyć na dwie godziny przed wschodem słońca? Niepodobna, ażeby przed świtem fregata zrekognoskowała przejście, więc umkniemy przed nią z pewnością.

— Masz słuszność, Davisie, w twej młodej głowie rozumu dużo. Lepiej zostawić czarnych, których zabrać nie zdołamy, niż skończyć mizernie. Ruszaj więc żwawo na zwiady, a bądź co bądź za kilka godzin gotowi będziemy.

— Bądź zdrów, kapitanie!

— Do widzenia, mój chłopcze! — odpowiedział Noël, ściskając go serdecznie za rękę. — Powiedz pomocnikowi, że chcę z nim pomówić.

I człowiek ten żelazny, który codzień igrał swą głową bez wahania, ten handlarz ciała ludzkiego, suchem spoglądający okiem na męczarnie nieszczęśliwych, których jak bydło ładował, tego wieczora wzruszony był prawie!

VIII.

Noc na brzegach Rio das Mortes. — Goryl. — Korweta.

W pięć minut później, Dawis i trzej majtkowie, od stóp do głów uzbrojeni, płynęli w dół rzeki na małem czółenku. Dla niezwrócenia na siebie uwagi murzynów, dali się z początku unosić prądowi i zaczęli wiosłować dopiero, kiedy byli pewni, że nikt ich nie usłyszy.

Noc była przepyszna. Rzeka, oświetlona promieniami księżyca, który w kwadrans niecały po ich wyjeździe zaczął się wznosić na widnokręgu, wiło się wśród brzegów zarosłych mangrowami i trzciną bambusową. Lekki wietrzyk, obciążony wonią szczodrzenic, tamaryndów, akacyi i ostrzejszym zapachem pieprzu etyopskiego, ochładzał atmosferę rozpaloną. Cudowne bo też są te noce zwrotnikowe, kiedy ustaje żar dzienny, a przyroda do snu się układa wśród ciszy pełnej zapachów i uroku. Od czasu tylko do czasu ryk dzikich zwierząt, szukających pożywienia, przerywał ciszę i ostrzegał podróżników, że należy mieć się na baczności.

W chwil kilka po zejściu porucznika z pokładu „Osy“, dwóch ludzi wsuwało się w trawy wysokie i biegło w tym samym kierunku po małej ścieżce, zaledwie dostrzegalnej między puszczą, a prawym rzeki brzegiem. Byli to: porucznik Barthet i Guillois, komisant marynarki.

Przez przeciąg dnia całego przypatrywali się oni operacyom wymiany niewolników z ciekawością nie wyłączającą bynajmniej uczucia głębokiej litości dla biednych ofiar niecnego handlu. Zmordowani smutnym tym widokiem i bolejąc nad niemożliwością ulżenia losom tylu nieszczęśliwych, wrócili na pokład wieczorem i usiadłszy przypadkowo pod oknami tylnego salonu, wysłuchali całej rozmowy z Davisem.

W jednej chwili powzięli postanowienie. Uzbrojeni wyszli na ląd i kiedy ajenci okrętowi spieszyli z ładowaniem murzynów z pewną niejako zajadłością, oddalili się niepostrzeżenie przez nikogo.

— Co zrobimy? — zapytał Guillois Bartheta, pierwszy przerywając milczenie po kilku minutach pochodu szybkiego, który ich oddalił na przestrzeń dla wzroku i głosu niedostępną.

— Musimy najprzód przekonać się— odpowiedział oficer — o ile prawdziwą jest wieść przyniesiona przez dwóch czarnych porucznikowi Davisowi.

— Toż po to idziemy — i niedługo dowiemy się o wszystkiem.

— A więc chciałeś się zapytać, co poczniemy, w razie jeśli znajdziemy przed sobą okręt wojenny na kotwicy niedaleko brzegów?

— Właśnie o to mi chodzi.

— Położenie jest drażliwe niesłychanie. Z jednej strony jesteśmy związani słowem, że nie będziemy kusili się o ucieczkę, ani nie zwrócimy uwagi statków strażniczych na Osę: z drugiej ludzkość nam nakazuje wszelkimi możliwymi sposobami położyć tamę zbrodniom, których od niejakiego czasu mimowolnymi jesteśmy świadkami.

— Przyrzekliśmy tylko nie dać znaku na morzu... ale tutaj.

— Rozumowanie subtelne, ale nie sądzę, żeby zwalniało nas z naszej przysięgi.

— Kochany poruczniku — mówił dalej Guiles — nie mam tak niezłomnych pojęć o honorze, jak ty. Jakto,

spotykamy człowieka, który bierze nas na pokład, będąc handlarzem niewolników...

— Nie mógł zrobić inaczej — przerwał mu Barthet. — Armator jego związany był kontraktem z rządem i odebrał urzędowe polecenie od komisarza jeneralnego w Bordeaux.

— Zgoda! ale któż mu bronił wysadzić nas na brzegach Hiszpanii, na Maderze, lub na wyspach Zielonego Przylądka? Miał dwadzieścia sposobów pozbycia się nas.

— Wszystko to nie było tak łatwem do wykonania, jak sądzisz. Słyszałeś, że Rontonaków posądzają o zajmowanie się dotąd handlem niewolników. W podobnych więc okolicznościach Osa winna była unikać najmniejszej nieostrożności przed ukończeniem swojej podróży, a byłoby to nie małą, gdyby nas wysadziła na pierwszy ląd spotkany i tym sposobem zdradzała się na początku wyprawy potrzebującej od trzech do czterech miesięcy spokoju. Widzisz, co ją o mało nie spotkało, kiedy chciała wstąpić do Gabonu... Mojem zdaniem, kapitan Noël wobec położenia swego musiał nas trzymać przy sobie.

— Możnaby mniemać, kochany Barthecie, że stajesz w obronie tego handlarza ciałem ludzkiem.

— Bynajmniej... zaznaczam tylko środki, jakich zmuszony był użyć w interesie własnego bezpieczeństwa.

— Niemniej jednak mam przekonanie, że słowo, jakie wymusił na nas pod grozą wysłania na dno morza z kulą u nogi, nie ma najmniejszego znaczenia w oczach najsurowszej moralności i co do mnie, nie mam bynajmniej zamiaru go dotrzymać. Jakto! jestem napadnięty przez złoczyńców, którzy pod sztyletem przysięgać mi każą, że ich nie wydam, i dlatego mam milczeć, pomimo ciągłych nowych ich zbrodni? W tym razie zdaje mi się, że sumienie wyrzucałoby mi wspólnictwo w zbrodniach ułatwianych przez milczenie moje.

— Może masz i słuszność.

— Najzupełniejszą. Jako wojskowemu, zdaje ci się, że położenie nasze jest czemś podobnem do położenia więźnia wojennego: w tem leży powód skrupułów twoich. Wystaw więc sobie, że jesteśmy poprostu więźniami bandy zbójców, a wtedy rozumowanie twoje do innych wniosków cię doprowadzi.

— Czuję, że wszystko, co mówisz, ma słuszność za sobą, a jednak mam wstręt niepohamowany do złamania słowa danego nawet korsarzowi.

— Wymożonego siłą, chciałeś powiedzieć, co zmienia postać rzeczy... W każdym razie, jeżeli nie możesz zwalczyć skrupułów swoich, pozwól mnie działać. Nie zobowiązywałeś się przecież do przeszkadzania mnie, a ja w danym razie potrafię poradzić sobie.

— Cicho! — zawołał Barthet, chwytając szybko za ramię przyjaciela.

— Co takiego?

— Patrz i słuchaj — szepnął cichym głosem młody oficer, wyciągając rękę w kierunku rzeki.

Dwaj towarzysze zatrzymali się i wśród szmeru cichego i nieokreślonego wody usłyszeli wyraźnie miarowy plusk wioseł, który zdawał się wychodzić z niewielkiego czarnego punktu, ślizgającego się po rzece o trzy do czterechset metrów od nich.

— To może być tylko Davis ze swymi ludźmi — odezwał się Guillois — ale co znaczy, że dopiero tu się znajdują?

— Coś oczywiście zatrzymało ich w drodze, patrz z jaką szybkością oddalają się teraz.

— Zdają się kierować ku przeciwnemu brzegowi; to doskonale, bo nie spotkamy się z nimi.

Zamieniwszy kilka tych wyrazów, obaj szli dalej w milczeniu, mając co krok rozmaite trudności do zwalczenia, które z największym tylko pokonywali wysiłkiem.

To natrafiali na gąszcze nieprzebyte sitowia, bambusów i mangrowów, które daleko obchodzić musieli, to na bagno ciągnące się od rzeki po brzegu lasu, w którem sto razy ugrzęznąć mogli.

Od czasu do czasu nagły szelest traw suchych i liści deptanych dawał się słyszeć o kilka kroków, a odgłos ciała wpadającego do wody oznajmiał im, że nastraszyli odpoczywającego na brzegu krokodyla.

Kiedyindziej przysłuchiwali się z mimowolnem drżeniem rykowi tygrysów i panter, które z złowróżbnemi intonacyami zdawały się nawoływać w gęstwinie, tak, że nic nie mówiąc do siebie, każdemu z nich przychodziło na myśl, czy nie istotnem szaleństwem z ich strony było zapuszczanie się w nocy wzdłuż brzegu rzeki nieznanej, otoczonej bagnami i puszczą.

Nagle głos dziwny, który nie był ani krzykiem dźwięcznym słonia, ani rykiem lwa lub tygrysa, ani wyciem szakala czy hyeny, rozległ się w małej odległości i usłyszeli szelest bambusów, jakby uderzających jeden o drugi ruchem podobnym do własnego ich chodu.

Obadwaj zatrzymali się mimowolnie, przeczuwając jakieś nieznane niebezpieczeństwo.

— Kto o tej godzinie brzegiem rzeki iść może? — szepnął Guillois do ucha towarzysza.

Za całą odpowiedź ten ostatni pociągnął przyjaciela w środek gęstej kępy bambusowej, rosnącej o kilka kroków i obadwaj wstrzymując oddech, czekali.

— Wróg czy przyjaciel, człowiek czy zwierzę... czemkolwiek jest zbliżająca się istota, nie zaczepiajmy jej — ozwał się Barthet, kiedy się ukryli.

Hałas dziwny, niezwykły, zbliżał się coraz bardziej z rosnącem natężeniem. Nagle, jakkolwiek obaj przyjaciele odważnymi byli, poczuli wszakże, że krew do serca im zbiega i o mało nie krzyknęli z przestrachu.

O dziesięć kroków od nich olbrzymi goryl wyszedł z krzaków. Trzymał on w ręku rodzaj maczugi, którą odchylał gąszcze, tamujące mu przejście. Miał blizko ośm stóp wysokości.

Przytuleni do siebie, Barthet i Guillois nie robili najmniejszego ruchu, któryby mógł ich zdradzić. Rozumieli doskonale, znając siłę i dzikość zwierzęcia strasznego, że zgubieni byliby za najmniejszą nieostrożnością.

Goryl przeszedł przewalając się na boki i, nie śpiesząc wcale, zmierzał ku lasowi. Stopniowo odgłos stąpań jego ścichał i szmer monotonny rzeki znowu sam tylko przerywał nocną ciszę.

Dwaj towarzysze puścili się w dalszą podróż.

Według Battela, który pierwszy z podróżników po Congo opisał goryla, małpa ta, postacią bardzo zbliżona do człowieka, ma nagie ręce, policzki i uszy, z wyjątkiem brwi bardzo długich. Jakkolwiek ciało jej dosyć jest kosmate, jednak włos ten jest rzadki, a barwę ma brunatną. Znaczną różnicę od człowieka stanowi noga bez łydki. Chodzi prosto, trzymając się ręką za włosy szyi. Kryje się w najgłębszych gęstwinach lasu. Sypia na drzewach, gdzie urządza sobie rodzaj dachu, chroniącego go od deszczu.

Pokarm jego stanowią dzikie owoce i orzechy: mięsa nigdy nie jada.

Goryle chodzą niekiedy gromadnie i zabijają spotkanych w lesie murzynów. Napadają nawet na słoniów, przychodzących na pastwisko do miejsc przez siebie zamieszkiwanych i dokuczają im razami pięści lub pałki do tego stopnia, że słonie z rykiem uciekają. Według tego podróżnika, goryle nie dają się chwytać żywcem, są bowiem tak silne, że dziesięciu ludzi jednemu poradzić nie może.

P. du Chaillu, wielki badacz Congo, który wzbogacił naukę geografii odkryciem Ogoue, olbrzymiej rzeki, wpadającej do morza powyżej przylądka Lopez, tak mówi o gorylu:

„Kiedym zobaczył goryla po raz pierwszy, zdawało mi się, że że spełniam morderstwo, tak jest on podobny do kosmatego człowieka... Ryk jego jest najdziwniejszym i najstraszniejszym głosem, jaki w tych lasach usłyszeć można. Jestem przekonany, że słyszałem go o milę, a uderzania pięści o piers przynajmniej o kilkaset sążni. Nic nie jest w stanie naśladować tego rodzaju grzmotu, do którego nigdy przyzwyczaić się nie mogłem“.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Nowożytny harem.

Nowożytny harem mało jest podobny do tego dawnego, w którym piękne odaliski więdły, nie znając świata, ni jego uciech. W Egipcie np. damy haremowe biorą udział żywy w życiu politycznem, wyjeżdżają na miasto zawoalowane bardzo lekko, a w swych salonach urządzają przyjęcia, na których bywają mężczyźni, bracia, krewni, przyjaciele, nawet przedstawiciele chrześcijańskich ambasad i misyj wojskowych. Na illustracyi naszej widzimy nowożytną damę haremową ubraną modnie i wykwintnie, jak wsiada do powozu, aby udać się do sklepów na zakupy.

Nowe metody złodziejskie.

Jeśli wojna wywołała przewrót we wszystkich dziedzinach życia, nie mogła oczywiście nie wpłynąć także na „szlachetne" rzemiosło złodziejskie. Mistrzowie dłuta i wytrychu odpowiednio do zmienionych warunków przystosowali środki i metody swego intratnego zawodu. Kradzież pieniędzy przestała nęcić z powodu obniżenia wartości monety, biżuterya trudna naogół do spieniężenia, więc przywłaszczenie jej sobie w drodze nielegalnej — nie opłaci ryzyka. — Przewartościowanie wartości najbardziej rażącą formę przybrało odnośnie do garderoby i bielizny. Rzezimieszkowie wielkomiejscy idąc z postępem czasu zwrócili szczególniejszą swą uwagę na kradzieże tych właśnie rzeczy. Dziś niema prawie w Krakowie kamienicy, w którejby bodaj jeden z lokatorów nie został okradziony z ubrania lub bielizny. Podobnie we Lwowie, Warszawie, Lublinie, Przemyślu potworzyły się **zawodowe zrzeszenia złodziejskie,** zorganizowane na szeroką skalę, które posiadają w swem łonie nie tylko głównych wykonawców kradzieży, **mistrzów,** ale całe zastępy **pomocników,** których zadaniem odnajdywanie mieszkań nie dość pilnie strzeżonych. Pomocnicy ci to przeważnie **zgraja żebraków,** którzy prosząc o jałmużnę badają przy sposobności rozkład mieszkania i obserwują zwyczaje domowników. Relacye i **spostrzeżenia, poczynione przez takie wywiady, idą potem do szefa bandy,** który wydaje stosowne zarządzenia swym podwładnym.

Strychy w miastach są stale zagrożone. Kominem lub inną, czasem niezbyt przyjemną ale pewną drogą wdziera się włamywacz na strych i zabiera łup. **Mokrą bieliznę przenosi się do pralni, pozostającej na usługach złodziejskich,** tam suszy się ją, ewentualnie jeszcze raz pierze, prasuje, a złożoną w kosze wynosi po za miasto, gdzie została skradzioną.

Garderobę skradzioną odnoszą złodzieje do paserów, ci zaś **posiadają krawców, którzy nicują ubrania** lub przerabiają je mozolnie, by później wywieźć poza Kraków, lub sprzedać na miejscu.

Lokatorzy kamienic, które nawiedzone zostały przez złodzieja, przychodzą zwykle zbyt późno do przekonania, że mieszkanie trzeba zabezpieczyć i strzec. Zakłada się rygle, kunsztowne zamki i łańcuchy, tak, że wejście do niejednego z mieszkań przypomina wchód do jakiegoś opancerzonego fortu. Czasem jednak i to nie wystarcza, bo w dobie udoskonalonej techniki, złodzieje przyswoili sobie wszelkie jej zdobycze. W każdym razie trudniej im okraść mieszkanie zabezpieczone.

W lecie wybierający się na wieś, czy do zdrojowiska, powinni pamiętać, że **mieszkania nie należy zostawiać bez ścisłego dozoru.** Co prawda, wyjazd na wieś nie należy także do rozkosznych; jak wiemy bowiem z opowiadań, **bezpieczeństwo na wsi pozostawia wiele do życzenia,** a rabunki i rozboje są w niektórych okolicach na porządku dziennym, względnie — nocnym...

Czcionka.

(Pogadanka zecera).

Czytałem niedawno obliczenie, jaką przestrzeń wynosiłby miliard koron, których pojedyncze sztuki złota lub papierki ułożonoby w jeden stos, jedną wstęgę, ile mają wagi, ile koni potrzeba będzie na przewóz itd. Jest to rzecz ciekawa, ale równie ciekawe mogą być cyfry otrzymane z przyjrzenia się skromnej pracy dziennikarskiej i głównego narzędzia jej, a zarazem środka oświaty, kawałka ołowiu, czcionki. Za podstawę do takiego obliczenia weźmy dziennikarza, który przez lat 25 pracuje w redakcyi jakiego dziennika, pomieszcza w nim codziennie tylko 100 wierszy. Cyfra oczywiście minimalna, przeciętnie bowiem dziennikarz zamieszcza dziennie po kilkaset wierszy.

Otóż dziennikarz, piszący przez lat 25, dziennie po 100 wierszy, wydrukuje w przeciągu tego czasu (wyłączamy niedziele i święta ważniejsze) 840.000 wierszy, dla złożenia których potrzeba 26.880.006 czcionek. Cyfra ta, jako pojęcie oderwane, jest rzecz jasna, mało mówiąca; niezbyt bowiem wyraźnie narzuca się wyobraźni przeciętnego czytelnika. Ubierzmy ją zatem w formę więcej zrozumiałą.

Czcionka drukarska we wszystkich prawie drukarniach ma zawsze jedną i tę samą wielkość, wymierzoną dokładnie i to już od czasów Guttenberga, który, nawiasem mówiąc, nadał jej formę w swem pierwszem wydaniu dzieł Cicerona, z którego to powodu pewien gatunek pisma nosi dotychczas nazwę „cicero". Na jedną stopę wychodzi wzdłuż ułożonych 11 i pół słupków czcionkowych, a cały ich pas złożony z owych 26-ciu milionów, przeprowadzony po szynach kolei żelaznej lub po drucie telegraficznym zająłby przestrzeń 548 mil. Człowiek, wędrujący 20 mil dziennie, na przebycie tej przestrzeni potrzebowałby prawie 26 dni. Przy obliczeniu tem weszły w rachubę zarówno szerokie litery, jak **w, m,** jakoteż i wązkie **i,** ale jeżeliby wszystkie bez różnicy litery przetopić tylko w literę **i,** oraz dodać do tego kropki, przecinki i inne znaki pisarskie i słupki, oddzielające jeden wyraz od drugiego, to wstęga ta posiadałaby długości 425 mil. Jak więc widzimy, cyfra okazała!

A spróbujmy teraz zważyć te czcionki. Waga wszystkich w przykładzie przez nas przytoczonych, wynosiłaby 93.333 funty. Ułożywszy wszystkie te czcionki na płask, jedne obok drugich, możnaby pokryć trzy morgi pola. Dalej, gdyby całą tę masę metalu można przetopić na pióra stalowe, z warunkiem, by z każdej czcionki zrobione było jedno pióro, to otrzymalibyśmy około 27 milionów piór. Gdyby urządzić kancelaryę, w której pracowałoby 100 pisarzów, a każdy z nich psuł by jedno pióro dziennie, to piór tych wystarczyłoby na 750 lat bezustannej pisaniny. Piórami temi możnaby zaopatrzyć po jednem wszystkich bez wyjątku mieszkańców Hiszpanii, Turcyi wschodniej, Rumelii i Grecyi.

Przejdźmy teraz do atramentu. W wadze aptekarskiej kropla wody waży jeden gram. Jedną kroplą dobrego atramentu można napisać trzy wiersze. W przykładzie naszym na napisanie 840.000 wierszy, trzebaby zużyć 280.000 kropli, co stanowi 49 funtów aptekarskich. Gdyby ilość tę atramentu można jakim sposobem zamienić na lekarstwo i dawać je po 15 kropli na jedną dozę, to liczba ich wystarczyłaby do wyleczenia 17.000 chorych.

Jarasz Salomon.

ALEKSANDER DUMAS.

HRABIA MONTE-CHRISTO.

9 (Ciąg dalszy).

— Moja droga, — rzekła Markiza, — strzeż swoich kanarków, kolibrów, piesków, a nie mieszaj się do czynności swojego przyszłego męża. Teraz broń spoczywa, a strój na placu, jakoś to mówi się po łacinie, panowie to wiecie.

— Cedant arma togae, — rzekł skłaniając lekko głowę na znak uszanowania.

— Jabym nie śmiała odezwać się po łacinie, — odpowiedziała markiza.

— Wolałabym, żebyś był doktorem, — dodała Renee, — jakikolwiek anioł, czy anioł niszczyciel, czy anioł pokoju, zawszebym miała cześć dla niego.

— Moja dobra Renee! — szepnął Villefort i miłosne spojrzenie rzucił na dziewicę.

— Moja córko, — rzekł Markiz, — pan Villefort będzie doktorem w moralnym i politycznym względzie dla tej prowincyi; wierz mi, że to piękna rola do odegrania.

— Pani, — rzekł Villefort i uśmiech smutku rozlał się na jego twarzy; — jużem miał honor oświadczyć ci, że mój ojciec, tak się przynajmniej spodziewam, wyrzekł się błędów swojej przeszłości; że dziś jest najgorliwszym przyjacielem religii i porządku, lepszy może ode mnie rojalista, bo on został rojalista po ciężkiej pokucie, ja zaś z zamiłowania zasad.

I po tym ustępie zgrabnym, Villefort zdawał się badać, jakie wrażenie sprawiła wymowa jego; spojrzał na biesiadujących, jak po stanowczym ustępie w replice, spogląda się na audytoryum napełnione ciekawą publicznością.

— Tak jest, mój drogi Villefort, — odpowiedział hrabia Servieux, — tak zupełnie co do słowa oświadczyłem ministrowi dworu królewskiego w Tuilleries, kiedy mię zapytywano o ten dziwaczny związek syna żyrondysty z córką oficera armii Kondeusza, i minister zrozumiał to dokładnie. To jest systemat Ludwika XVIII., mieszać się i łączyć przez małżeństwo przeciwne stronnictwa. Wówczas właśnie król, kiedyśmy ani przypuszczali, wysłuchał naszej rozmowy i przerwał w końcu mówiąc: „Villefort (uważajcie państwo, że nie nazwał go wcale Noirtier, ale przeciwnie, Villefort wymówił z przyciskiem) Villefort, rzekł tedy król, piękną poszedł drogą i zrobi karyerę; człowiek młody, a już dojrzały i należy zupełnie do pokolenia, którem ja podniósł. Z przyjemnością dowiedziałem się, że markiz i markiza de Saint-Meran przyjmują go za zięcia, i sam nawet byłbym im doradził ten związek, gdyby mię byli pierwsi nie zapytali o pozwolenie zawarcia go“.

— Król tak powiedział hrabio? — zawołał uszczęśliwiony Villefort.

— Powtarzam ci jego własne słowa, i gdyby markiz chciał być szczerym, przyznałby teraz, że to, co ci tu mówię, zgadza się najzupełniej z tem, co król wyrzekł do niego samego przed sześciu miesiącami, kiedym mu mówił o zamiarze małżeństwa swojej córki z tobą.

— Prawda, prawda, — rzekł markiz.

— A więc wszystko mu będę winien, temu zacnemu monarsze! i czegożbym ja dziś dla niego nie poświęcił, aby mu usłużyć?

— Brawo, otóżto tego potrzeba, — rzekła markiza, tak, to cię kocham mój Villefort; niech się teraz pokaże jaki spiskowic, a dobrze go przyjmiesz.

— A ja, moja droga matko, — rzekła Renée, ja proszę Boga, aby cię nie wysłuchał, aby pan Villefort miał tylk do czynienia z winowajcami takimi, jak złodzieje, mali bankruci i bojaźliwi oszuści, wtenczas tylko będę mogła zasnąć spokojnie.

— To na jedno wychodzi, jakbyś lekarzowi, — rzekł uśmiechając lekko Villefort, — życzyła, aby mu się zdarzały do leczenia choroby katarowe, febryczne i tym podobne, które nawet znajomości medycyny nie potrzebują. Jeśli chcesz mię kiedyś widzieć prokuratorem królewskim, powinnaś mi przeciwnie życzyć, abym leczył te najstraszniejsze słabości, w których lekarz może wystąpić i popisać się z swoją znajomością i których wyleczenie przynosi mu sławę.

W tej chwili, jakby przypadek oczekiwał tylko sposobności spełnienia życzeń Villefort'a, służący bowiem pokojowy kilka słów szepnął mu do ucha. Villefort odszedł od stołu, przepraszając obecnych i w kilka chwil potem wrócił, zaś na twarzy swoboda i uśmiech malowały się.

Renée spoglądała na niego czule, bo też te niebieskie oczy, cera śniada, czarne, okrążające twarz faworyty, nie były bez wdzięku. Villefort był prawdziwie zręcznym i pięknym mężczyzną. I młoda panienka z całą uwagą i natężeniem zdawała się spoglądać na jego usta, kiedy opowiadał przyczynę nagłego swego odejścia.

I cóż pani, chciałaś przed chwilą być żoną doktora. Ja też w istocie mam obowiązki dość podobne do uczniów Eskulapa (w 1815 roku jeszcze tak mówiono): żadna właściwie godzina nie należy do mnie, przeszkadzają mi nawet w chwili, kiedy jestem przy tobie, nawet w czasie uczty zaręczyn.

— Co panu przeszkodziło, jaki powód przeszkody? — zapytała młoda dziewica z pewnym rodzajem niespokojności.

— Niestety! wołano mię do chorego, który zdaje się, jeśli mam wierzyć temu, co mówią, jest bardzo niebezpiecznym; w tym razie jest-to ciężka choroba i chory może skończyć na rusztowaniu.

— Ah! Boże Wielki, — krzyknęła Renée blednąc okropnie.

— W samej rzeczy! — ozwali się wszyscy, jakby jednym głosem.

— Zdaje się, że tu poprostu odkryto jakiś Bonapartynowski spisek.

— Czy podobna! — zawołała Markiza.

— Oto list denuncyacyjny.

I Villefort przeczytał:

„Wierny poddany tronu i religii, zawiadamiam niniejszem prokuratora królewskiego, że niejaki Edmund Dantes, porucznik okrętu „Faraon“, przybyły dzisiejszego rana ze Smyrny, zawijał poprzednio do Neapolu i Porto-Ferajo, i otrzymał list od Murata do Uzurpatora do komitetu Bonapartystowskiego w Paryżu. Władza może się przekonać o jego występku jeśli go zechce aresztować, znajdzie bowiem list ten albo przy nim, albo u jego ojca, albo w jego pokoiku na statku „Faraon“.

— List ten, rzecze Renée, jest bezimienny i adresowany do prokuratora królewskiego, nie zaś do pana.

— Tak, ale kiedy teraz nie masz prokuratora królewskiego; w czasie jego nieobecności przyszło zawiadomienie do sekretarza, który miał pełnomocnictwo otwierania listów. Otworzył, kazał mię natychmiast szukać; nieznalazłszy, wydał polecenie aresztowania.

— Tym tedy sposobem winowajca jest już aresztowany? — rzekła Markiza.

— To jest oskarżony, — wtrąciła Renée.

— Tak jest pani, — rzekł Villefort, — i jakem miał honor pani oświadczyć przed chwilą, jeżeli taka rekomendacya się znajdzie, — jak ta oto — chory jest w stopniu najwyższego niebezpieczeństwa.

— Gdzież jest ten nieszczęśliwy? — zapytała Renée.

— Czeka tam u mnie.

— Idź mój przyjacielu — rzekł markiz — nie opuszczaj dla nas obowiązków, tembardziej, gdy cię powołuje służba królewska. Idź więc, gdzie cię obowiązki urzędu twego powołują.

— Ah panie Villefort, — rzekła Renée składając ręce, — bądź wyrozumiałym, pamiętaj, że to dzień zaręczyn twoich.

Villefort obszedł koło stołu, zbliżył się do krzesła swojej narzeczonej i oparłszy się na poręczy, rzekł:

— Żeby cię uspokoić, zaręczam, że będę robił wszystko, co tylko można, droga Renée, dla oszczędzenia człowieka; jeżeli jednak poszlaki są pewne i oskarżenie rzetelnem, potrzeba będzie odjąć tę złą gałązkę Bonapartystów.

Na ten wyraz o d j ą ć, Renée zadrżała, bo ta gałązka, którą trzeba odjąć, ma g ł o w ę.

— No, no, proszę cię panie Villefort nie słuchaj tej dziewczyny; ona to później zrozumie.

To mówiąc, markiza podała panu Villefort suchą rękę do pocałowania, którą z głębokim przyjął szacunkiem spoglądając na Renée, jakby mówił:

— Twoją ja rękę całuję, droga moja, a przynajmniej w tej chwili pragnąłbym ją ucałować.

— Smutna to wróżba! — szepnęła Renée.

— Moja panno, — rzekła Markiza; — doprawdy, że mię twoje dzieciństwo do rozpaczy przyprowadza. Powiedz mi proszę cię, co mogą mieć za związek losy kraju z twojemi marzeniami sentymentalnemi i czułościami twojego serca?

— Ah matko moja! co mówisz, — rzekła Renée.

— Bądź pani Markiza względną dla niewiernej swojej rojalistki, — rzekł Villefort. — Przyrzekam ci pani, że dopełnię mego obowiązku podprokuratora królewskiego sumiennie, to znaczy, że będę bez litości surowym.

I jednocześnie, gdy urzędnik zwracał mowę do Markizy, narzeczony ukradkiem dał znak zwrokiem swej przyszłej, w którym wyczytałbyś:

„Bądź spokojną Renée, przez miłość dla ciebie będę pobłażającym“.

Renée to spojrzenie najsłodszym uśmiechem przyjęła, a Villefort odszedł, unosząc raj w sercu.

Indagacya.

Villefort zaledwie opuścił salę biesiadników, zdjął wesołą maskę, której twarz jego w czasie uczty zaręczyn potrzebowała, a przybrał fizyonomię surową człowieka powołanego do wypełnienia tego najwyższego obowiązku, jakim jest wyrokowanie o życiu lub śmierci podobnej sobie istoty. Niełatwa to była praca na ten raz zmarszczyć brwi i zasępić czoło, pomimo ruchliwości jego fizyonomii, ruchliwości, którą każdy podprokurator królewski z powołania, jako zdolny aktor, wyrobić w sobie winien i wyrabia troskliwie przed lustrem. I w rzeczy samej, pomijając już nawet pamięć karyery politycznej, którą ojciec jego przeszedł, i która mogła, jeśliby jej dziś nie zmienił, sparaliżować całą jego przyszłość, Gerard de Villefort był w tej chwili tyle szczęśliwy, ile nim być może ten, co ma nadzieję zdobycia szczęścia i karyery. Sam z siebie bogaty, w dwudziestym siódmym roku życia piastował urząd znakomity w sądownictwie, miał poślubić młodą i piękną osobę, którą kochał; co więcej prócz tej piękności niezwykłej, przyszła jego żona panna de Saint-Méran pochodziła z rodziny najlepiej obecnie u dworu widzianej; nakoniec, przy wpływie ojca i matki niemających innych dzieci prócz Renée, a którego całkowicie użyć mogli na korzyść zięcia, narzeczona przynosiła mężowi w posagu pięćdziesiąt tysięcy talarów; licząc się jeszcze z nadziejami przyszłości, wyniosłoby do pół miliona. Wszystko to przedstawiało panu Villefort całość oślepiającego szczęścia, tak dalece, że zdawało mu się dostrzegać plamy na słońcu, gdy długo wpatrywał się okiem duszy w ubiegłą przeszłość wewnętrznego życia.

U drzwi czekał na niego komisarz policyi. Widok tego człowieka strącił go odrazu z wysokości trzeciego nieba, w którm się unosił nad ciemną ziemią materyi, po której stąpamy; ułożył więc twarz swoją, jakeśmy już mówili, i zbliżył się do urzędnika sprawiedliwości:

— Jestem na pańskie rozkazy — rzekł: czytałem list; dobrześ zrobił, żeś aresztował tego człowieka, teraz proszę mi udzielić szczegółów o nim i o samym spisku, ile mogłeś w tym czasie zebrać.

— O spisku nic a nic dotąd nie wiemy jeszcze, odpowiedział komisarz: wszystkie papiery, któreśmy znaleźli u niego, stanowią jedną pakę opieczętowaną i ta jest już w pańskiej kancelaryi. Co się tyczy aresztowanego, jestto, jakeś się pan przekonał z listu denuncyacyjnego, niejaki Edmund Dantes, porucznik trójżaglowego okrętu „Faraon“, handlującego bawełną z Aleksandryą i Smirną, który jest własnością domu M o r r e l i S y n, z Marsylii.

— Czy nim wstąpił do marynarki handlowej, nie służył on czasem poprzednio w marynarce wojennej? — zapytał Villefort.

— O nie panie dobrodzieju, to jest bardzo młody człowiek.

— W jakim wieku?

— Dziewiętnaście, dwadzieścia lat najwięcej.

W tej chwili, gdy Villefort idąc główną ulicą, zmierzał do zakrętu ulicy Konsulów, jakiś człowiek oczekujący na jego spotkanie, przystąpił doń; był to Morrel.

— A pan Villefort dobrodziej — zawołał zacny ten kupiec, spostrzegając podprokuratora; — rad jestem bardzo, że pana tu spotykam. Wyobraź pan sobie, jaki błąd popełniono, błąd dziwny i niesłychany; aresztowano porucznika mego statku Edmunda Dantes.

— Wiem o tem mój panie — rzekł Villefort — właśnie idę do domu na indagacyą.

— Ah, panie dobrodzieju — rzecze następnie Morrel, w uniesieniu przyjaźni dla młodzieńca — nie znasz pan tego, którego oskarżają, a ja go znam najlepiej. Uważ pan dobrodziej, że ten człowiek łagodny, uczciwy jak mało, człowiek, który, śmiem wyznać, ze wszystkich może w marynarce kupieckiej zna najlepiej swoje powołanie. Ah! panie Villefort pragnę polecić go panu najszczerzej z całego serca.

Villefort, jakeśmy to już widzieli, należał do towarzystwa arystokratycznego w mieście, Morrel zaś do plebejuszów; pierwszy był czystym i zapalonym rojalistą, drugi posądzany cicho o bonapartyzm. Villefort spojrzał wzgardliwie na pana Morrel i odrzekł z oziębłością:

— Wiesz pan, mój panie, że można być łagodnym i dobrym w pożyciu, uczciwym w stosunkach handlowych, zdatnym na swojem miejscu, a przytem należeć do największych przestępców politycznych; wszak pan wiesz o tem, nieprawdaż?

Urzędnik ostatnie te słowa wymówił z przyciskiem, jakby je chciał zastosować do samego kupca i właściciela statku i wzrok swój badawczy zapuścił w głąb serca człowieka, który dość był śmiałym sam potrzebując pobłażania.

(C. d. n.)

ARTUR CONAN-DOYLE.

Widmo przeszłości.

10 (Ciąg dalszy).

Na pokładzie okrętu widać było kilkunastu wystraszonych marynarzy, rozpacznie wyciągających do nas ręce. Marynarze nie byli wszakże jedynemi ofiarami nawałnicy. Na drugim końcu pokładu stało trzech ludzi, uderzającej powierzchowności i, jak mi się zdawało, innej rasy.

Rozmawiali spokojnie, jakby nie zdając sobie sprawy z grożącego im niebezpieczeństwa.

Zauważyłem ciemne ich twarze o rysach wybitnie wschodniego typu, oraz głowy, pokryte czerwonemi fezami.

W tej chwili wsiedliśmy do łodzi i walcząc z wichrdem i morzem zbliżaliśmy się zwolna do tonącego statku, gdy nagle ujrzeliśmy, jak zwaliła się nań olbrzymia fala, nieszczęsny okręt z głośnym trzaskiem rozpadł się na dwie części; jedna z nich wraz z trzema niezwykłymi pasażerami zniknęła pod powierzchnią wody; przednia zaś, na której znajdowało się kilkunastu marynarzy, utrzymywała się jeszcze jakiś czas nad wodą.

Okropny krzyk przerażenia wyrwał się z piersi nieszczęśliwych i wtedy, wytężywszy resztę sił naszych, znaleźliśmy się na miejscu katastrofy. Umieściwszy na naszej łodzi załogę tonącego statku, zawracaliśmy już do brzegu, gdy wtem nowa, straszliwa fala zatopiła resztki „Belindy", gasząc zarazem latarnię sygnałową.

Po kilku minutach szczęśliwie wylądowaliśmy.

Zebrani na brzegu mieszkańcy Brinkson życzliwie witali ocalonych marynarzy. Było ich trzynastu; nigdy nie widziałem ludzi równie zziębniętych i przygnębionych; jeden tylko kapitan zachował spokój i równowagę.

Kilku z pomiędzy załogi zabrali do siebie rybacy, większości wszakże ojciec mój udzielił gościnności w Brinksom.

Kapitan Midows, takie bowiem było jego nazwisko, przebrawszy się w moje ubranie, wyszedł do jadalni i przy szklance grogu jął nam szczegółowo opowiadać cały przebieg katastrofy.

— Gdyby nie pan i nie pańscy dzielni chłopcy — rzekł do mnie z uśmiechem, — znajdowalibyśmy się teraz na dnie morza. „Belinda" już dawno uciekła. Był to stary okręt, ale doskonale zaasekurowany; jego strata nie wywoła więc żalu, ani właściciele, ani też mojego.

— Obawiam się, — ze smutkiem zauważył mój ojciec, — że nigdy już nie zobaczymy pańskich trzech pasażerów. Na wszelki wypadek zostawiłem na brzegu kilku ludzi, którzy udzielą im pomocy, gdyby morze wyrzuciło ich na brzeg.

— Co to byli za jedni? — zapytałem. — Nigdybym nie uwierzył, aby człowiek mógł być tak spokojny wobec nieuniknionego i strasznego niebezpieczeństwa.

— Kto oni byli, — odparł kapitan,— trudno orzec. Ostatnim razem zatrzymywaliśmy się w porcie Kuraczi, na północy Indyi i tam wsiedli na pokład „Belindy", oznajmiając, że udają się do Glasgowu. Najmłodszy z nich nazywał się Rham Sing i z nim tylko rozmawiałem; wszyscy wyglądali na ludzi spokojnych i nieszkodliwych. Przypuszczam, że byli to kupcy, udający się do Europy za interesami. Nie rozumiem też, czemu bała się ich cała załoga, a nawet mój pomocnik.

— Bali się ich? — zapytałem zdziwiony.

— Tak, wszyscy uważali ich za niebezpiecznych towarzyszy podróży, i napewno obwiniają ich teraz o nieszczęście, jakie się nam przytrafiło.

W tej chwili wszedł do jadalni pomocnik kapitana; podziękowawszy nam za gościnność, zwrócił się do swego zwierzchnika:

— No, a co pan teraz powiesz, kapitanie? Czyż nie mówiłem panu, że stanie się nieszczęście, jeżeli przyjmiemy tych trzech czarnych na pokład naszego statku?

Kapitan roześmiał się na cały głos:

— Widzicie panowie? — zawołał zwracając się ku nam.

— Wszystko to mogło się nie na śmiech dla nas skończyć, — porywczo odrzekł pomocnik. — O mało co nie zginęliśmy wszyscy.

— Chce pan powiedzieć, — zauważyłem, — że wszystkie nieszczęścia należy przypisywać tym biednym pasażerom?

— Dlaczego „biednym", sir? — zapytał ze zdziwieniem.

— Ponieważ z pewnością utonęli, — odpowiedziałem.

Z niedowierzaniem wzruszył ramionami. Po chwili zaś dodał:

— Ludzie tego rodzaju nigdy nie toną. Opiekuje się nimi ojciec ich, djabeł. Nie widział pan chyba, jak wśród największego niebezpieczeństwa, z niewzruszonym spokojem kręcili sobie papierosy. To chyba zawiele. Nie dziwię się, że ludzie cywilni nie rozumieją, co to oznacza, ale kapitan, żeglujący po morzu od dzieciństwa, powinienby wiedzieć, że kot i duchowny — to najgorszy ładunek na świecie. No, a jeżeli chrześcijański duchowny jest niepożądanym pasażerem, to chyba duchowny pogański i bałwochwalca w dodatku jest pięćdziesiąt razy gorszy.

Zaśmieliśmy się głośno z wywodów pomocnika kapitana, ten jednak, niezrażony, myśl swoją rozwijał dalej.

— Jak tylko się zjawili, dwóch naszych marynarzy buddystów, których mieliśmy w naszej komendzie, upadło przed nimi na twarz, a gdy zapytałem ich potem, czemu to uczynili, odpowiedzieli, że nowi pasażerowie — to ludzie święci.

— I cóż z tego Hawkins? — zapytał kapitan Midows.

— A no, najświętszy z chrześcijan jest najbliższy Boga; ale zdaje mi się, że najświętszy z czarnych jest najbliższy dyabła. Następnie, sam widziałem, kapitanie, że czytali jakieś książki, napisane na drzewie, nie zaś na papierze; po nocach zamykali się i długo o czemś rozmawiali. Po co wieźli ze sobą własną mapę morską i poco codziennie oznaczali na niej drogę, odbytą przez statek? Mieli przecież takie własne instrumenta miernicze. A czy pan wie, jak nazywa się ta zatoka, w której okręt nasz uległ rozbiciu?

Kapitan nic nie odpowiedział.

— To zatoka Kirck-Maden, — zawołał Hakins tryumfująco.

Midows był tem rzeczywiście zdumiony.

— Zadziwiające, — rzekł zwracając się do nas. — Pasażerowie ci od początku podróży dopytywali się wciąż czy istnieje zatoka tej nazwy. Ja i mój pomocnik odpowiedzieliśmy, że nie znamy jej, na naszej bowiem mapie była ona włączona do głównej zatoki Mews. Rzeczywiście, zdumiewający zbieg okoliczności! Wiatr przyniósł i zniszczył nasz statek właśnie w tej zatoce.

— Jest to tak niezwykłe, że nie może być zbiegiem okoliczności, — mruknął Hawkins. — Widziałem ich wczoraj rano, gdy na morzu panowała cisza: stali na pokładzie i pokazywali sobie jakiś punkt na wodzie. Wiedzieli pewnie dobrze, że jest to właśnie port, do którego zdążają.

— Cóż więc wnioskujesz z tego, Hawkins? — zapytał kapitan, na którego twarzy znać było wzruszenie.

— Sądzę, że tym łotrom nie trudniej było wywołać burzę, aniżeli mnie wypić szklankę grogu. Chcieli koniecznie dostać się do tej nieznanej zatoki, skrócili więc sobie drogę, wywołując burzę.

Przyjęliśmy z powątpiewaniem ten szczególny pogląd Hawkinsa. Siedzieliśmy jakiś czas jeszcze w milczeniu, poczem ojciec mój wstał i dał hasło do rozejścia się na spoczynek.

XII.

O trzech cudzoziemcach.

Nazajutrz była piękna pogoda i nikt nie uwierzyłby, żeby dnia poprzedniego mogła szaleć tak straszliwa burza. Zajęliśmy się, aby rozbitków zaopatrzono na drogę i wyprawiono do Wichtowne, skąd pociągiem mogli się udać do Glasgowu.

Kapitan Midows i jego pomocnik zostali jeszcze u nas. (C. d. n.)

HUMOR i SATYRA.

Przerabiamy.

Mój przyjaciel Seweryn nie uprawiał nigdy żadnych sportów, ale obecnie stale chodzi po sportowemu.

— Taniej — powiada. — Zamiast sprawiać nowe spodnie za 600 czy 700 marek, kazałem stare, postrzępione u dołu, obciąć i jest szyk.

Józio nie nosił nigdy sztuczkowych kamizelek. Teraz ma piękną złotawą kamizelkę w bordo kwiaty.

— Taniej — powiada. Miałem stary parawan; zniszczył się, więc kazałem wyciąć, co było całe i dałem sobie zrobić tę śliczną kamizelkę.

Zenon przyszedł do biura w nowym bronzowym tużurku.

— Pi-pi-pi! — dziwią się koledzy. — Skądżeś pan wziął taki pyszny materyał?

— Miałem podarte portyery, odciąłem frendzle i kazałem z reszty uszyć tużurek.

— Co za oryginalne palto! — zawołałem, spotkawszy Leopolda w modnem okryciu z paskiem na brzuchu, ale z wyciśniętym smokiem chińskim między łopatkami.

— To, widzisz, z otomany.

Itd. itd. Przerabiamy, przerabiamy, przerabiamy.

Opowiadano mi, że w tych dniach pewna panna młoda, nie mogąc zdobyć się na suknię weselną, kazała przerobić stara koszulę na strój balowy. Jeden zaś z suwerenów stara się zostać ministrem, aby otrzymać tekę.

— Potem — mówi podam się do dymisyi, z teki zaś każę zrobić nowe przyszwy, bo mi już palce wyłażą.

— A zelówki?

— Zelówki głupstwo. Zelówek nie widać.

Głosy markowo-koronowe.

Mareczki nam dali
Za drogie korony,
Cóż ty poczniesz z niemi
Człeku utrapiony?

Baba ci z przed nosa
Sprzątnie mleko, jaje,
Kiedy się jej marki
Zamiast koron daje.

A choć oświecony
Jest kupiec miastowy,
I sprzedać ci towar
Za marki gotowy —

Jednak nie po kursie,
Co jest na papierze.
Nie — on za koronę,
Mareczkę ci bierze.

A że za to jest tam
Niby jakaś kara,
To z tego drwij bracie —
Boć historya stara,

Że kto dziś uczciwy,
Ten przepada marnie,
A ten tylko żyje,
Kto zysk chciwie garnie.

Ustawa, to chochoł,
Co wśród żyta stoi,
A kiep taki wróbel,
Który się go boi.

Gdy interes robi
Z konwercyą minister,
Dlaczego zarobić
Nie ma też filister?

Cóż go to obchodzi,
Że tam taki straci,
Któremu miast koron,
Rząd markami płaci!

Więc dziś każdy kontent,
Tylko ten strapiony,
Komu marki dali
Za drogie korony.

Wojna Trojańska.

(Wykład historyczny nerwowego nauczyciela gimn. *).

Wspomniałem wam już na ostatniej godzinie, że wskutek porwania Heleny (na str. 46), która już dziś trwa lat 10, i zajmie nam przynajmniej ze dwie godziny. (Wobec tego — spokój tam z tyłu — udowodniłem wam już chyba dosyć razy, że uszy moje dochodzą aż do ostatniej ławki). Tymczasem toczyły się bezustannie walki o twierdzę Pryama, (a ten dureń Paciorek się śmieje. Jest-to wogóle dziwne, że ile razy zacznę wykładać poczynacię się śmiać. Przy rozdawaniu świadectw, to ja się śmiać będę). Zagniewany Achilles nie brał udziału w tych walkach,— dopiero gdy najserdeczniejszy druh Patroklus jego padł z ręki Hektora, rzucił się do boju z okrzykiem — (Wyjdź Rapaport, jak nie możesz się wstrzymać do końca godziny. Od czego właściwie jest pauza?). Dziki ten okrzyk przeraził do tego stopnia hufce trojańskie, że cofnęły się w popłochu aż pod mury miasta. Widział to sędziwy Prian i w złowieszczem przeczuciu wyrywał sobie włosy. Synu mój zawołał — Ta trzecia ławka to już chyba zwaryowała). Także siwa Hekuba żaliła się rozpacznie. (Teraz w czasie hiszpanki otwiera ten tuman Karafiołek okna!). Z drugiej strony rozważał Hektor: Czy wolno mi się cofnąć i (kiedy wreszcie ten Przybylski przestanie dłubać w nosie). Tak w swem sercu rozmyślając, oczekiwał wroga. Wszyscy bogowie zgromadzeni na Olimpie siedzieli z zainteresowaniem. (Co tu tak czu?). Cztery razy obiegali dwaj zapaśnicy mury Troi, wreszcie Hektor zasapany stanął i zawołał: (Przecie ten Puchalski kurzy pod ławką, co za bezczelność — oddaj natychmiast papierosa!) Ten ustęp jest w oryginale greckim przecudny (ale tak wstrętnego tytoniu, tom życiu nie palił, twój fabrykant — to za końmi chyba goni). Macie mi to przerobić na jutro.

*) Wesoła ta rzecz nadaje się znakomicie do wygłoszenia na wieczorkach kabaretowych jako monolog.

Mars i miłość.

W późny wieczór gdy na niebie
Zalśnił gwiazd złocistych szyk,
Mąż powraca w dom do siebie
Nieco wcześniej, niźli zwykł.

Do sypialni wchodzi cicho,
Kroczy śmiało niby w dym,
Wtem przystanie: co za licho!
Czyż mam wierzyć oczom swym?

Żona w bieli, jak najada
Lampką nocną w oknie macha,
Ha! niechybne — że to zdrada!
Że to znaki są dla gacha!

„O! niewierna! tak mąż wrzaśnie,
Jaszczurczego dziecię rodu,
Że mnie zdradzasz, widzę jaśnie,
Więc podaję do rozwodu!“

„Mężu, wybij z głowy sobie,
Głupstwo widne jak na dłoni,
Wszak to samo co ja robię,
Robi także i Marconi.

Jakby gwiezdne zbadać kruże
O tem marzy dziś świat cały,
Ja nauce teraz służę,
To dla Marsa są sygnały!“

„Co? dla Marsa mówisz, żono,
Światło umysł mój przenika,
Wszak widziałem, idąc pono
Tam na dole — porucznika!

Prawdę mówi ta kobieta,
Zarzut jej czyniłem srogi,
Ale dziwny to planeta,
Bo ma wąsy i ostrogi!“

Redaktor odpowiedzialny: M. J. Migo. **Wydawca: Spółka Wydawnicza „Życie i Powieść“.**

Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie, ul. św. Tomasza 35.